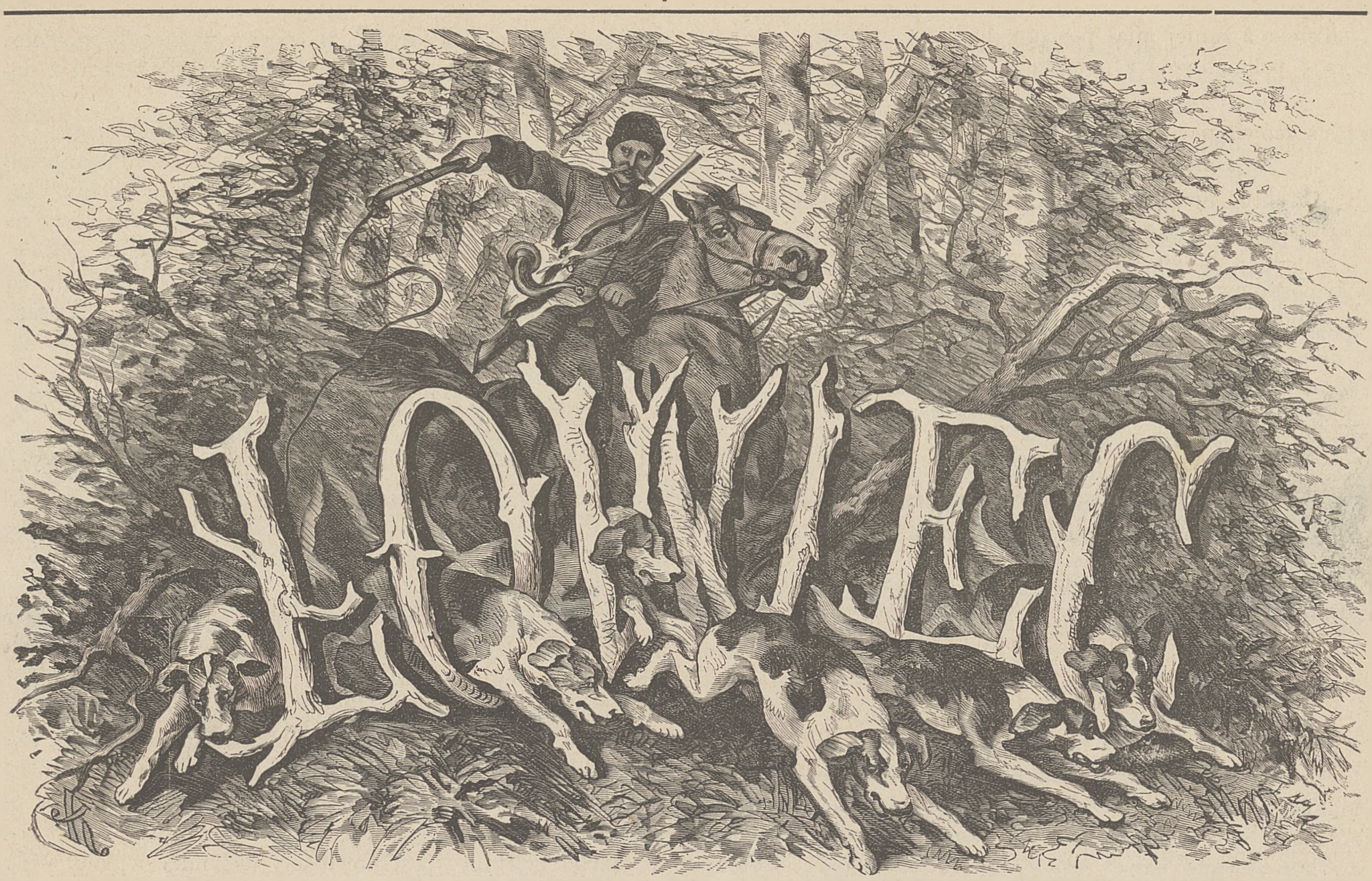
Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Stefan Batory jako myśliwiec.

Obrazek rodzajowy na tle wieku

przez

ADOLFA PAWIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Wpływ króla-myśliwca na piśmiennictwo łowieckie. — Myśliwstwo ptasze Cygańskiego w 1584 r. — Bielawski wkrótce ogłasza wiersz p. t.: „Myśliwiec". — Łowiectwo w Polsce w połowie XVI. wieku. — Pożytek i zabawa. — Polowanie z rusznicą. — Szczwanie chartami. — Ogary. — Łowiectwo ptasze za pomocą sieci. — Sokoły.

Nie sądzę bynajmniej, iżby to był traf przygodny, że na czas panowania Stefana Batorego i jego żyłki łowieckiej przypada ukazanie się niewielkiego dziełka, które w literaturze polskiej tak pięknie zdobi oddział ornitologii krajowej, a które ogłoszone gdzieindziej, jak twierdzą znawcy, byłoby za prawdziwą perłę poczytane. Jest to „Myśliwstwo ptasze" Mat. Cygańskiego, szlachcica z Mazowsza, wydane w Krakowie w 1584 roku *). Już dawno ornitologowie nasi zwrócili należną uwagę na tę drobną pracę, a jednak niesłychanie ważną pod względem terminologii i rozgatunkowania ptaków, że dość tu przypomnieć zabiegi Stronczyńskiego około wydania litografowanej (w r. 1836) podobizny, gruntowne Antoniego Wagi studya nad objaśnieniem całego utworu *), tudzież Kazimierza hr. Wodzickiego uwagi krytyczne nad niektóremi oddzielnemi przedmiotami, zawartemi w tem dziełku **).

Nie chcę tego utrzymywać, iż dopiero Stefan Batory wlał w Cygańskiego zamiłowanie do łowiectwa. Dawno już ono w duszy jego istniało, dawno z nim cała szlachta podzielała upodobanie w łowieckich zabawach. Ale król stał się, mojem zdaniem tem, czem jest rosa poranna dla kwiatów, czem jest słońce wiosenne dla zarodków roślinnych. On pędy wzbudził, rozwój przyspieszył i świeżym pąkom pozwolił się w kielich rozwinąć.

Cygański był sobie szlachcic, oddany namiętnie łowiectwu i jak pisze w końcowym wierszu swego utworu o sobie, że na myśliwstwie

„swój wiek na tym prawie(m) strawił".

*) Myśliwstwo ptasze, którym się opisuje sposób dostawania wszelkiego ptaka i t. d. Kraków 1584, egzemplarz Biblioteki Uniw. warszawskiego.

*) Myśliwstwo ptasze. Warszawa 1842.

**) O sokolnictwie i ptakach myśliwskich, Warszawa 1858.

Tem też mniej miał pociągu do pióra. Prosząc czytelnika o pobłażliwość z powodu

„iż w tych książkach są częste omyły“,

otwarcie mówił o sobie:

„iż ja nie umiem pisma żadnego“

czyli, że autor nie rości sobie prawa do tytułu uczonego i że z temi sprawami piśmiennemi nie ma należnego obycia.

A jednak mimo ten brak wprawy, szlachcic mazowiecki postanowił podzielić się owocem swych długoletnich spostrzeżeń i dlatego, jak sam pisze:

„Chciałem to podać do ręki, do ludzi,
Com też umiał, wszak nikt nie żmudzi
Czasu próżno, kto czyta te sprawy,
To są zawsze uczciwych zabawy“.

Kto wszakże pobudził, kto zachęcił, ośmielił nieoswojonego z piórem szlachcica do wystąpienia z głuchej kniei, z ciszy borów mazowieckich na szeroką widownię piśmiennictwa?

Nie będę utrzymywał stanowczo, iżby to uczynił Stefan Batory, choć gdybym takie wypowiedział domniemanie, mógłbym na jego korzyść niektóre przytoczyć tu okoliczności. Król po swojem przybyciu do Polski spotkał się bez wątpienia na wspólnéj drodze wspólnych zamiłowań z Cygańskim i może z nim niejedno odbył polowanie. Bo myśliwcy, jak wiadomo, ciągną do siebie zawsze jak dwa magnesy. Żyłka myśliwska zaciera między nimi wszelkie różnice stanu i powołania, a liczne wskazują przykłady, że koronowane nawet osoby nie gardzą wtedy towarzystwem choćby prostego wieśniaka Zresztą nie było ci tam tak wielkiego przedziału między szlachcicem polskim a obranym przezeń monarchą, żeby Batory uważać miał sobie za ubliżenie polować z Cygańskim po mazowieckich puszczach. A do uszu króla, kiedy bawił w Warszawie lub Grodnie łatwo dójść mogła sława Cygańskiego, bo to był swego czasu łowiec zawołany, myśliwiec nad myśliwcami.

Gdzie się ten szlachcic rodził, z której części Mazowsza pochodził, czy tu z pod głuchej puszczy Jaktorowskiej z pod Sochaczewa, lub Błonia, czy też z moczarów pułtuskich lub kniei ostrołęckich, tego nie wiemy *). Cygańscy mieszkali z dawien dawna w ziemi łęczyckiej, więc może ztamtąd jaka gałęź przeniosła się na sąsiednie Mazowsze. Czyli tam posiadał nasz łowiec jaką większą fortunę, i tego także powiedzieć nie umiemy. Ten tylko szczegół przytoczyć można jako cechę wyróżniającą, że Cygański miał na jarząbki piszczałeczkę srebrną, podczas gdy inni myśliwcy, chyba jako mniej zamożni, miewali powszechnie, jak on sam pisze, kościane albo cynowe **). Prócz tego wypada jeszcze nadmienić tu i o tej okoliczności, że Cygański wydał własnym nakładem swoje „Myśliwstwo Ptasze“, a wydał w epoce, w której w ogóle, przy kosztownym druku, wydatek rzadko się wracał z dochodu ze sprzedanej książki.

Jeżeli atoli domniemanie nasze co do wczesnego spotkania się z królem Stefanem nie wyda się zasadnem, niech przynajmniej to jako rzecz pewną i niezbitą wolno nam będzie przytoczyć, że Cygański przybył do Warszawy na początku 1581 roku, kiedy się tu sejm odbywał przed wyprawą pskowską i królowi przedstawił zamiar wydania na widok publiczny swego dziełka o myśliwstwie. Zapisano to do Metryki koronnej, a więc tu już żadna nie może zachodzić wątpliwość.

Dwaj łowcy się spotkali. Cygański prosił króla o przywilej na lat piętnaście dla swego dziełka, aby w tym przeciągu czasu nikomu nie wolno było przedrukować utworu. Król bardzo pochwaliwszy zamiar autora, prośbie jego uczynił zadość i polecił wydać z kancelaryi swej list, zapisany w Metryce koronnej (nr. 123, str. 645) pod dniem 19. Lutego 1581 r.

„Gdy wszelkiej pochwały i opieki, powiada król w pomienionym przywileju łacińskim, najgodniejsi są ci, którzy ku codziennemu pożytkowi ludzi rozpowszechniają tajemnice sztuki, lub jakiejbądź mniéj dostępnej nauki, przeto uważając nietylko godnem pochwały, ale opieką naszą pragnąc osłonić zamiar szlachetnego Mateusza Cygańskiego, który pragnie drukiem ogłosić dziełko łowieckie, ułożone przezeń z długoletniego doświadczenia własnego, napisane w języku polskim, postanowiliśmy dać mu... żądany przywilej i polecamy i t. d.“ *)

Listy królewskie wydano w 1581 roku, a dziełko ukazało się nie wcześniej jak w trzy lata później, przypisane przez autora temuż królowi. Nie śmiem tedy utrzymywać stanowczo, iżby Stefan Batory wprost pobudził Cygańskiego do napisania i wydania tej pracy ornitologicznej, ale mogę śmiało twierdzić, że król, pochwaliwszy zamiar, dawszy opiekę autorowi, przyczynił się pośrednio do zbogacenia naszego piśmiennictwa takim pięknym, takim szacownym pomnikiem. Gdyby przykład króla-myśliwca nie był pobudził Cygańskiego do popisów łowieckich, na któreby inny jaki zniewieściały monarcha, n. p. Henryk Walezy, spojrzał był z lekceważeniem, byłyby na zawsze utonęły w rzece niepamięci spostrzeżenia myśliwca mazowieckiego, spostrzeżenia i uwagi, mające prócz czysto naukowej, ornitologicznej, tę jeszcze dla nas niepospolitą wartość, że nam odsłaniają stronę obyczajową współczesnego wieku.

A jest to rzecz ważna i ciekawa poznać dokładniej zajęcia domowe rolniczej ludności, zabawy całej rzeszy szlacheckiej z owych czasów, o których tak mało wiadomości pod tym względem podały nam źródła pisane. Gruba zasłona, którą gdzieindziej tylko uchyliło przygodnie pióro tego lub innego pisarza, tajemnicą pokrywa tę mianowicie stronę obyczajów — naszych przodków złotego wieku literatury. W niewyraźnych bardzo rysach, których zaledwie oko dostrzeże, przedstawia nam się wizerunek owej społeczności polskiej pod względem jej ćwiczeń i zabaw myśliwskich, które przecież i u nas, jak gdzieindziej, należały do zajęć codziennych, do zabaw powszechnych i ulubionych **).

*) O pochodzeniu z Mazowsza, a raczej o przebywaniu na Mazowszu świadczy wyrażenie autora: „nie po naszemu, t. j. nie po mazowiecku“. Z tego też względu wywody W. Maciejowskiego o pochodzeniu Cygańskiego z Rusi i o jego tam zamieszkaniu, uważać należy za nieuzasadnione. (Polska pod względem obyczajów, 1842, t. 1. str. 322). — W Piśmiennictwie zaś (III, 291) przytacza tenże autor okoliczność, że Cygański pisał przedmowę (której brak w naszym egzemplarzu) do swego dzieła „W Cyganiech“. Jedyna wieś tej nazwy znajduje się w powiecie łęczyckim, atoli w wykazie poborowym z r. 1576 (Źródła dz. t. XIII., str. 187), w liczbie wymienionych współwłaścicieli wsi Cygan żadnego Mateusza nie znajdujemy. Łęczyckie zaś, jak wiadomo, nie należało do Mazowsza.

**) Zob. pod wyrazem Jarząbek.

*) Brzmienie oryginalne.

**) Taki mniej dokładny obraz podali w swych pracach Ł. Gołębiowski (Gry i zabawy, Warszawa 1841). W. A. Maciejowski (Polska pod względem obyczajów, Warszawa 1842). Reumann w Sylwanie z 1842 r. i i.

Prócz Cygańskiego mamy na szczęście i inne jeszcze źródło, zkąd jakie takie światło spływa na sprawy myśliwskie w Polsce w drugiej połowie XVI. wieku. Wkrótce po śmierci Batorego ukazał się w 11 lat po wydaniu dziełka Cygańskiego, wiersz pod tytułem: „Myśliwiec", którego autorem jest Tomasz Bielawski *).

Wiersz ten dość obszerny, bo z 24 kart złożony, wybiega wprawdzie rokiem swego ukazania się (1595) po za kres naszej pracy, po za granicę rządów Stefana Batorego. Nie należy przeto ściśle do literatury myśliwskiej, która za panowania dzielnego króla zakwitła, lubo jako materyał do charakterystyki swego wieku i tej mianowicie sprawy, jakiej tu dotyka pióro nasze, najwygodniej da się użyć. Możnaby nawet przypuszczać nie bez zasady, że i tu także pośrednio oddziałał przykład króla-myśliwca, możnaby mniemać, że i w tym kierunku już po za metę życia i rządów Stefana sięgały jeszcze dobroczynne promienie jego wpływu. Bo zastanowienia jest godną ta okoliczność, że przed epoką Batorego nie posiada literatura nasza żadnych pisanych pomników, tyczących się myśliwstwa i łowiectwa. Przybył do Polski król-myśliwiec, aliści ukazało się niebawem dziełko Cygańskiego. Wkrótce pozazdrościł sławy Cygańskiemu Bielawski i ułożył swoje rymy dydaktyczne nie mniej ważne, ciekawe, niekiedy nawet ważniejsze od wskazówek poprzednika jego. Bielawski jest ściśle jeszcze dzieckiem tej epoki Batorowych łowów, jeszcze się echo królewskiej trąbki myśliwskiej wyraźnie z jego wiersza odzywa:

Król Batory na straży siecią trzeciomilną
Otoczywszy zwierzynę bierał nieomylną. (Obrót VII).

Już znacznie poźniej wysworował się na tem polu Ostroróg, wydawszy „Myśliwstwo z ogary" w 1618 r., lubo i on właściwie mógłby być użyty do odwzorowania naszego łowiectwa w drugiej połowie XVI. wieku, bo w rozwoju obyczajowym każdej społeczności tylko bardzo wolno odbywają się zmiany, tak, iż przedział kilkunastu lub kilkudziesięciu lat w tym względzie pozostaje rzeczą dość obojętną. Pozostańmy jednak dla ścisłości w granicach obrazu, jaki nam odsłaniają Cygański i Bielawski, tem więcej, że Ostroróg z kilkakrotnych wydań jest powszechniej znany, tymczasem dziełko Bielawskiego do najrzadszych należy osobliwości **).

Kiedy Batory przybył do Polski, myśliwstwo było oddawna w pełnym rozwoju, w pełniejszym może nawet tu niż gdzieindziej, z powodu rozmnożenia się szlachty, mianowicie uboższej; zagonowej, dla której łowiectwo było nietylko zabawą, ale stanowiło niekiedy źródło dochodu i utrzymania. Miałeś wszędzie pełno zwierzyny, nie brakło też i ptactwa. Były to skarby natury dla wszystkich przystępne.

Z nich żywność, z nich suknią i każdy strój mamy". *)

W niektórych stronach łowiectwo należało do stałych zajęć ludności. Na Żuławach, jak twierdzi Bielawski, oddawali się mieszkańcy łowieniu dzikich kaczek.

„I żywią Gdańsk, Elbiąg, siebie kaczorami wszyscy".

Bywało tak niezawodnie i na Mazowszu, albo w innych dzielnicach Polski, w których gęściej osiadłe miasta dawały sposobność łatwiejszego spieniężenia myśliwskiego łupu. Tam zaś, gdzie żyzna ziemia mogła żywić zamieszkałą na niej ludność, uprawa roli stanowiła oczywiście główne zajęcie, a łowiectwo tylko dodatkowe źródło dochodu. Bo łowiectwo i wszystko co do myśliwstwa należy, także stoi dobrem gospodarstwem.

„Z pola się każdy żywi, abo w polu".

Dlatego też pewnie rozważny rolnik trzymał się przestrogi Bielawskiego, który pisze w swym wierszu:

Sprzęt opatrz pierwej domogospodarny
Potym do sarny.

I bez wątpienia dbał o to przedewszystkiem, aby chleba nie brakło, aby gumna się napełniły zbożem, żytem i pszenicą, gdyż potrzeba najpierw chleba.

Stodoła biada, gdy na polu goło
Poci się czoło. (Obrót II.)

Poczciwy człowiek, jakim mieć chce każdego szlachcica, odkłada na jesień, oraz na zimę, łowieckie zajęcia i czyni z nich sobie „rozkoszną krotofilę", wtedy dopiero, gdy już wszystkie załatwi swe starania około roli, około sprzętu letniego, około gospodarstwa. Wtedy to prawdziwa rozkosz „z charty się przejeździć, na cietrzewka sieć zastawić, kuropatwiczkę rozsiadem przykryć, a przejeździwszy się, a obłowiwszy się, do domu przyjechać: ano izba ciepła, ano w kominie gore, ano potraweczek nadobnych nagotowano, ano grzaneczki w czaszy w rozkosznem piwie miasto karasków pływają". **)

Trzeba jednak przyjemne łączyć z pożytecznem. Jak kto ma na jesień więcej czasu, a obfitego nie zebrał żniwa, niech idzie w pole, jak powiada Bielawski.

„Z rusznice ubije
Kaczkę, zjadszy dwie na dzień, oto przedsię żyje,
Przedsię zwłaszcza w jesieni znaczniejsza niż wrona
Dwie zjadszy przy kapuście brzuchowi obrona". ***)

Nietylko jednak z łowiectwa można ciągnąć pożytek dla żołądka. Są inne jeszcze ztąd korzyści. Niejednemu myśliwstwo może i pieniążków do kieszeni napędzić. „Azaż też zła sarnka, powiada Rej, albo wilczek z siatkami go poszukawszy, a skórę dziś za pięć złotych mało nie jako rysia" ****). Nieraz i Cygański, wystawiając pożytek tego lub owego ptaka, pisze n. p. o orle, że pierze jego się przyda do konia, do tarczy, „a weźmiesz zań talar abo dwa", lub o czapli „abo weźmiesz za pierze, gdy starej, dwa talary lub więcej".

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Możność dokładniejszego zbadania tego dziełka zawdzięczam niezwykłej uprzejmości p. Bron. Czarnika, ukończonego słuchacza wydziału histor. w uniwer. we Lwowie, który łaskawie zajął się opisem dla mnie tego rzadkiego utworu, zachowanego w dwóch tylko egzemplarzach. (Zakł. Ossol. i Bibl. w Kórniku), jak wskazuje Bibliogr. Estrejchera.

**) Zasługiwałoby ono z wielu względów na przedruk i rozpowszechnienie. Młodsze pokolenie naszych przyrodników powinnoby się poczuć do obowiązku wydania na widok publiczny Bielawskiego z odpowiedniemi objaśnieniami, jak to uczynił nestor przyrodników ze starszego pokolenia, p. Antoni Waga, wydawszy Myśliwstwo Cygańskiego.

*) Bielawski w pierwszej pieśni, na które w liczbie XVI. nazwanych Obrotami myśliwca, podzielony jest cały poemat.

**) Żywot człowieka poczciwego, wyd. Turowskiego, str. 235.

***) Obrót XIII.

****) Str. 235.

OGARY.

Inne były to czasy! Inne polowania!
Umilkły przy nagonkach te ogarów grania,
Któremi nasze knieje dawniej rozbrzmiewały,
A które myśliwego w zachwyt wprowadzały.
Znałeś wszystkie te głosy: alt dźwięczny „Zagraja“,
„Szumlasa“ bas doniosły, ochrypły „Hultaja“,
I małej „Wisły“ dyszkant — a gdy jednym chórem
Na oko lisa wzięły, aż zatrzęsło borem,
A z ciebie dusza ledwo nie wyskoczy! Cały
W uchu! Słuchasz — psy grają, dźwięki się wzmagają,
Bo wszystkie echa boru granie powtarzają.
Słuchasz — orkiestra zwalnia, tempo powolniejsze,
Coraz to się oddala — echa odleglejsze.
„I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza“,
. . . .
Zapadła hen gdzieś w lasy, a tobie się zdało,
Że ci gra w uchu jeszcze, „a to echo grało“.

Cicho — lecz ty spokojny, zwierza nie porzucą,
Pewny swoich gończaków, wiesz, że z lisem wrócą.
Cicho — cyt, cyt! Wracają! Znasz ten dźwięk donośny,
„Wisły“ to twojej dyszkant, jak dzwonek rozgłośny;
Znasz go i wiesz, że „Wisła“ zawsze się odsadzi,
I że najzajadlejsza, zawsze prym prowadzi.
Tak jest, wracają! Zrazu głosy przytłumione,
Niby w jakiemś podziemiu przymknięte, zgłuszone,
Gdy naraz wszystkie drzewa wrzask brzmiący rozniosły,
To ze zrębów psy wpadły w las stary, podniosły!

Mignęło —
Błysnęło —
Paf! Na ho ho! Na ho ho! i trąbką ogłaszasz
Psom i myśliwym trupa — na wódeczkę spraszasz;
„Sa tu „Szumlas“! tu „Zagraj“! Pogłaskać je trzeba,
wam się też należy po kawałku chleba.

„A przejdziemy się jeszcze panie Dobrodzieju“?
„Dobrze! Podłóż no psami mój stary Macieju“!
„Na tu tu tu“! I „Wisła“ ruszyła zająca,
„Aj jaj jaj! rachu rachu!“ Znów knieja grająca!
Strzał padł! Psy naraz urwały!

Tak to bywało dawniej ogary nam grały!
A był też w naszej zgodnej psiarni „Dunaj“ stary,
Psisko duże, powolne, a maści podżarej;
Ten zawsze w pojedynkę chadzał sam za zwierzem,
Gardząc swych towarzyszy statecznem przymierzem,
Podniósłszy trąbę w górę, basem z rzadka dzwonił,
I nie tropem jak inne, ale wiatrem gonił.
Na przełaj on zabiegał zającowi drogę,
Który nie napierany, kluczki swe zakręcał,
Czując, że się tam nad nim flegmatyk nie znęcał.
O! byłem zawsze pewny, że mu ufać mogę!
Że choć tam stary „Dunaj“ w biegu zwolnił czasem,
Nigdy on, prawie nigdy zająca nie zgubił —
I póty za nim bąkał ochrypłym swym basem,
Aż póki ktoś z myśliwych szaraka nie ubił.
Każdy też z nas myśliwych starowinę lubił.
Znalazł się zawsze jeden, drugi „Cymbał“ młody,
Który zławiał na darmo bez zysku ni szkody;
Jeszcze się z psami gonić smarkacz nie poduczył,
I zwykle za nogami myśliwych się włóczył;
Pobiegnie czasem w krzaki, ruszy jak z kopyta,
Podziauka chwilę, urwie, niby żaczek czyta,
I już go wojowania chętka ominęła;
A pewny że dokonał rycerskiego dzieła,
Powraca z dobrą miną, rad już że oniemiał,
Toż nikt z nas „w pułkowniku“ zaufania nie miał.

Bywało przed wieczorem psy ruszą zająca,
Gonią długo, bez końca — rosa spadająca
Zaczyna zwilżać ziemię i mrok już zapada,
A psiarnia coraz żwawiej i głośniej ujada.
Z dalekiej już wyprawy raz nim obróciły,
Powracają raz drugi, zając traci siły,
Co chwila to przypada, psy biorą na oko,
I wrzawa nieustanna w około, szeroko
Wzmaga się i rozbrzmiewa coraz to głośniejsza,
I coraz hałaśliwsza, coraz zajadlejsza.
To tu, to tam podbiegasz, mrok widzieć nie daje,
Nie strzeliłeś ni razu, wrzawa nie ustaje.
Ustała — przedzierasz się przez gąszcze, ku stronie,
W której naraz urwało głośne ujadanie;
Gęste sploty gałęzi kaleczą ci skronie,
Twarz, ręce, obszarpują na tobie ubranie;
Widzisz nie wiele, ale słyszysz: niby miechy,
Liczne jakieś i głośne przyspieszone dechy,
Drzesz się dalej przez krzaki, już je słyszysz z bliska,
Nareszcie, ot tu! patrzysz: leżą wszystkie psiska,
Gromadką leżą w kupce, jedna stoi parka,
Języki wywieszone, ślina kapie z pyska,
Wszystkie bokami robią, a dyszą, a dyszą,
Tempem kieszonkowego twojego zegarka,
A zegarków jak w sklepie, wszystkie się kołyszą;
Patrzą psy w oczy tobie, lecz leżą zjajane,
I wciąż dyszą, a dyszą psiska zmordowane.
Wiedząc już co się święci, pomiędzy nie wchodzisz,
I chociaż po omacku, wprędce tam znachodzisz
Zająca — podnosisz go, przypatrujesz: cały,
Jak struna wyciągnięty, jak kamień skostniały.
Ni go pies który drasnął, ni zdusił za szyję,
Tylko go mordą dotknął, upadł — już nie żyje.

Tak to bywało nieraz, psy niestrzelanego
Sforsowały zająca.

Lecz co prawda — tego
Zaprzeczyć też nie można, że tu na Podolu,
O wiele mniej bywało dawniej zwierza w polu;
Zające, lisy i wilk czasem — a nic więcej —
A nawet mniej niż dzisiaj bywało zajęcy;
Psy niestrzeżone, znaczne wyrządzały szkody,
Na wiosnę tysiącami ginął zając młody.
O sarnach, jak o dzikach prawie nie słyszano,
Choć bywały wypadki, że je widywano.
Trafił się czasem jaki z daleka przybłęda,

O którym przez czas dłuższy krążyła gawęda.
Mówiono raz naprzykład, że wpadł dzik-odyniec
Do wsi, a ze wsi w ogród, przez dworski dziedziniec,
I że pan Alexander we własnym ogrodzie,
Uganiając się za nim, załamał na lodzie.
Pan Tytus opowiadał znów o koźle starym,
Który napadł na niego raz o zmroku szarym,
I tak go dźgnął rogami, że z nóg zwalił, pobił,
Kłąb mu zwichnął, stratował — o mało nie dobił.
Lecz różnie tam szeptały o tym koźle — ciocie,
Tak Klara, jak Barbara — coś o jakimś płocie,
Z którego spadł pan Tytus o wieczornym zmroku,
I tam to miał kłąb zwichnąć w tym pospiesznym skoku;
A po którym już koźle wywróconym z płota,
Do cudzej go zwierzyny odpadła ochota;
Jak tam było? nie wiedzieć, bo nikt nie był świadkiem,
Lecz ciocie tym się wielce gorszyły wypadkiem.

Owoż, jak się już rzekło: zwierza było mało,
Więc też i nic dziwnego, że się tak trafiało,
Iż nam się polowanie czasem nie udało.
Ot w posuchę naprzykład psy nie potrzymają,
I chociaż trafią zwierza, rychło urywają;
Albo, kiedy szum wiatru powypłasza w pole
Wszystkie zające — wówczas pełne ich są role,
A w lesie pustki. Chodzisz, błąkasz się dzień cały,
Ani się pies odezwie, wszystkie posmutniały,
I ty, przeciągłym szumem wiatru ogłuszony,
Powracasz z kwaśną miną do domu znudzony.
Toż samo i o nowiu, szkoda twego czasu;
Jeżeli się wybierzesz dnia tego do lasu,
Niewystrzelisz zazwyczaj ni ziarnka ołowiu,
Najlepsze bowiem gończe węch tracą na nowiu.

I to do przyjemności wcale nie należy,
Jeżeli za zającem pies w pole wybieży,
A tam owce spostrzegłszy, zająca porzuci,
I z całą zajadłością na owcę się rzuci.
Wraz cała zgraja z lasu wypadła zażarta,
I w mgnieniu oka beczy niejedna podarta,
A kilkanaście obok leży poduszonych.
Co tchu biegniesz i krzyczysz, lecz psów rozjuszonych
Nie powstrzymać tak łatwo — okładasz sforami,
I kolbę na psie złamiesz, niema rady z psami!
Zwołujesz dojeżdżaczy, myśliwych. — Zbiegają
Się chłopy, bek, krzyk, rwetes — resztę doduszają.
Całe pobojowisko zasłane trupami!
Płacisz chłopkom za szkodę, jak ją cenią sobie,
Lecz każdy lamentuje, po głowie się skrobie:
„Kryuda Pane“! Cóż robić? choć już zapłacone,
Zostawisz im w dodatku owce poduszone.

„A toż mi polowanie panie Dobrodzieju“!
„A ja panu powiadam: Feralis Pomnieju!
„Spotkaliśmy dziś księdza, a to bębnię młode
„Iwaś, słomy nie rzucił! Baba szła po wodę
„Z próżnemi konewkami! Zając przebiegł drogę!
„Jutro będzie inaczej — dziś nic nie pomogę“!

W nocy deszczyk porosił, więc pełen nadziei,
Przededniem już na nogach i skoro świt — w kniei!
Jakoż niebawem pieski raźnie nam zagrały,
I wszystkie echa boru grania powtarzały;
Bo już to brzmi najdźwięczniej muzyka ulotna
Po deszczu lub po rosie, gdy ziemia wilgotna.
A kiedy śnieżek ziemię bialutki przyprószy,
I jestże kto z myśliwych, co w knieję nie ruszy?
Ponówka to już specyał! to bankiet prawdziwy!
Bo nietylko że pieski uganiają z werwą,
Na chwilę przez dzień cały muzyki nie przerwą,
Lecz się niemniej od piesków raduje myśliwy,
Doczekawszy ponówki długo wyglądanej,
Jakby na białej karcie czysto zapisanej,
Odcyfrowuje znaki, świeżo wytłoczone
Po bialuteńkim śniegu tropami. Na mioty,
Jak na departamenty lasy podzielone,
Porysowana knieja, jak mapa Europy;
A że do jej poznania nie brak ci ochoty,
Obchodzisz mioty w koło i obliczasz tropy;
Pozbierawszy w ten sposób statystyczne daty,
Wiesz już, który miot pusty, a który bogaty
Jest w zwierzynę, i w jaką? Obszedłeś już kilka
Dziś miotów, a w ostatnim dotropiłeś wilka.
Jak ów smakosz, co ślinkę przed ucztą połyka,
Kiedy go zapach barszczu rozkosznie przenika;
Tak i ty się podkradasz ostrożnie i milczkiem,
Mając już prawie pewność spotkania się z wilczkiem.
Polecasz dojeżdżaczom, aby miot obiegli,
Prowadząc psy na sforach — psami podłożyli
Od strony skąd wiatr wieje — i trąbką ostrzegli
Nas strzelców, gdyby wilka przypadkiem spostrzegli,
Że się z miotu wynosi w głąb rozległej kniei.
Ustawiłeś już strzelców wszystkich po kolei,
Wszyscy z bijącem sercem oczekują chwili,
W której psy wilka ruszą. — Ruszyły! Już gonią!

Jak w uroczyste święto, gdy dzwony zadzwonią,
Rozpływają się dźwięki w około donośnie;
Tak też psiarnia zajadła, gdy naraz zabrzmiała,
Do *fortissimo* wzrosła harmonja wspaniała —
I wszystkie drzewa boru wtórzyły radośnie
Jednym chórem wilkowi hejnał uroczysty,
A dla myśliwych był to festyn rzeczywisty.

Wilk jak strzała przeleciał przez linię przeciętą,
Wpadł w gąszcz — zajrzałeś chwilkę kitę wyciągniętą;
Toż w kitę pali sąsiad — wilk poleciał dalej,
Psy za nim — sąsiad splunął, a inni się śmiali.
Sąsiad ów, człek bywały, najpoczciwszy w świecie,
Ale coś jak Zagłoba, z częsta duby plecie;
Lubił on okazyjki i u siebie gościł,
Za kołnierz nie wylewał, skrupulatnie pościł;
Więc choć duby wyplatał, że ludziom życzliwy,
Lubiliśmy go wszyscy — był przytem myśliwy,
Ale strzelcem nie tęgim, najczęściej pudłował.
Jakoś się po tym strzale sąsiad zafrasował.
„Nastrzelałeś nam tyle wczoraj przy obiedzie,
„A dziś się sąsiadowi w kniei coś nie wiedzie,
„I fantazja Pomnieju uważam ochłódła —
„A wilk sobie tymczasem poświstuje z pudła“. —
„Czekaj, czekaj, nie wilk to naprzód, lecz wilczyca,
„Poznałem akuratnie, bo podniosła kitę;
„A potem, czekaj, czekaj! pudła tu nie było,
„Bo chociaż nie farbuje, ale jest turzyca;

„O pudle się nikomu ani nie przyśniło,
„Oczy mam jeszcze dobre, strzelam expedyte,
„Więc kulę, gdzie mierzyłem, celnie wpakowałem,
„Po skoku, czekaj, czekaj! zaraz to poznałem,
„Podskoczyła wilczyca, gdy kulkę połknęła;
„Tylko że się pigułka nie gardłem wśliznęła,
„A wśliznęła się gładko, więc i nie farbuje,
„Czekaj, czekaj mopanku, nigdy nie pudłuję;
„I nie strawi pigułki, ani nie wykicha,
„Aż gdzieś kiedyś zaginie bestyja u licha"!

Takie bywały dawniej nasze polowania!
Dziś, umilkły po kniejach już ogarów grania;
Inna tam dziś kapela, inna też uciecha —
I inne nas ze świata dolatują echa.

Pobereże, Luty 1887. *Maryan Kozicki.*

Polowanie na niedźwiedzie.

Będąc uczestnikiem jednego z piękniejszych polowań na tego coraz już rzadszego dzisiaj zwierza, poczytuję sobie za miły obowiązek podzielić się z czytelnikami „Łowca" opisem tej zajmującej i pamiętnej dla wszystkich biorących w niej udział wyprawy.

Pan Urban Bohusz, właściciel paru majątków na Wołyniu, niewątpliwie najpierwszy myśliwy w całej okolicy, otrzymawszy wiadomość, iż w majątku jego Nowosiółkach, położonym w powiecie Mozyrskim, gubernii Mińskiej, znajdują się niedźwiedzie, postanowił na nie zapolować i w tym celu zaprosił na polowanie dwóch sąsiadów swoich z Wołynia, pp. Kr., Siem. i mnie. Do personalu wyprawy należał też syn starszy gospodarza p. Józef, w którym od najmłodszych lat przebija się zamiłowanie cnót myśliwskich ojca — razem pięć osób, z których prócz gospodarza, wszyscy mieli się po raz pierwszy spotkać oko w oko z niedźwiedziem. Zjechawszy się 13. Lutego z moimi towarzyszami na stacyi Łuniniec, kolei Poleskiej, idącej z Brześcia do Homla, podążyliśmy do stacyi Pticz, zkąd końmi udaliśmy się w kierunku północno-zachodnim do miasteczka Kopatkiewicze i tam przenocowaliśmy. Nazajutrz popołudniu byliśmy już na miejscu w Nowosiółkach, wiosce czysto poleskiej, położonej wśród lasów i błot, gdzie rozkwaterowaliśmy się w dworku, zamieszkałym przez rządcę (właściciel majątku nigdy tu nie mieszka), niskim i długim, jakie podobne i u nas w Królestwie się spotykają. Ogromny komin i piec zarazem, zajmujący jeden kąt i znaczną część izby swym wydętym frontem, zwracał naszą uwagę, a nieustający ogień na kominie wraz z trzaskiem palącego się drzewa rozweselał ciszę, sprawiając pożądaną harmonję, wobec mroźno zachodzącego słońca. Gościnny gospodarz o wszystkiem zawczasu pomyślał; każdy gość miał łóżko, wprawdzie bez materaca na sprężynach, ale za to świeżutkiem sianem usłane, a przywieziony z Wołynia kucharz, wraz z zasobem prowizyi, jako też piwnicy Humienieckiej (rezydencya p. Bohusza pod Klewaniem), kazały nam zapomnieć, że znajdujemy się w niezamieszkałej przez gospodarza wiosce zapadłego Polesia. Rozpoczęły się tedy narady i konferencye ze zwołanymi strelcami i Pobereżnikami, co do miejscowości, w której znajduje się barłóg niedźwiedzia i wszelkich szczegółów z tem połączonych; pomijam je, chociaż są bardzo interesujące, trzeba bowiem być obecnym i widzieć te postacie, nieznane w świecie ucywilizowanym, przedziwne typy synów natury, jak wyrażają się i układają pojedynczo i gremialnie cały plan wyprawy. Z rokowań tych doszliśmy do tej pewności, iż niedźwiedzica z 3-rocznymi piastunami leży w barłogu w lesie Fastowskim, o 20 wiorst od naszej wsi odległym, że tam je od Grudnia stale obserwowano i że w niewielkim ostępie bez trudności będzie je można otoczyć. Po wydaniu odpowiednich rozporządzeń postanowionem zostało polowanie na owe niedźwiedzie na pojutrze (środę 16. Lutego), nazajutrz zaś mieliśmy zapolować bliżej wsi na łosie lub wilki, które ciągle były widywane, ale z powodu braku świeżego śniegu nie mogły być ściśle otropione. Z tej właśnie przyczyny polowanie odbyte nazajutrz nie wydało pożądanego rezultatu. Tem niecierpliwiej wszyscy wyczekiwaliśmy środy, a skoro tylko dzień zaświtał, rozpoczęły się przygotowania: oglądanie strzelb, sztućców, nabojów, próby strzelania, przeplatane rozmowy z uwagami, jak w danej ewentualności postąpić. Zacny gospodarz, wydawszy wszelkie drobnostkowe dyspozycye strzelcom, jedną tylko miał troskę i życzenie, aby goście jego strzelali do niedźwiedzi.

Wyjechaliśmy pełni dobrej otuchy; dzień był pogodny, prześliczny chociaż mroźny, termometr wskazywał rano 15 stopni zimna, które jednak bez wiatru nie było przykrem; pola zaledwie pokryte były śniegiem, ale w lesie, zwłaszcza na bagnach, śniegu było sporo, a moczary i rzeki grubym lodem ścięte, dozwalały pewnej przeprawy. Około 12-tej w południe przybyliśmy na miejsce zboru, odległe o małe pół wiorsty od barłogu. Na polance leśnej rozpalono ognisko, około którego zebrała się obława; strzelcy, gajowi wraz z kilku sforami gończych, zaprawionych do niedźwiedzi. Co za obraz, co za typy tych myśliwców pierwotnych, obutych w łapcie, uzbrojonych w zanikłe już u nas pojedynki pistonowe! Jeśli my przyglądaliśmy się im ciekawie, niemniej ciekawie nam się przypatrywano; nie uszło mej uwagi kilka ironicznych spojrzeń ze strony starych wygów, a jeden z nich dość głośno zapowiadał nam niespodziankę znalezienia się w czułym uścisku niedźwiedzicy. Po odbyciu ostatecznej narady i wydaniu dyspozycyj szefom obławy, strzelcom i gajowym, ruszyliśmy pieszo po cichu do miotu. Ostęp ten, mający około 20 morgów przestrzeni, jednym bokiem dochodził do małej rzeczki Oressy, wpadającej do Pticzy; niski w tem miejscu brzeg rzeczki tworzył bagnisko zarosłe trzciną, po za którą rozciągała się przestrzeń, pokryta gęstą łozą, przechodząc dalej w błotnistą olszynę, zarosłą staremi na karpach olchami. Niedźwiedzica z trojgiem dzieci leżała w barłogu w środku łozy, blisko rzeki, mając barłog na kępie pod krzakiem, bez żadnego przykrycia i osłony od śniegu lub deszczu.

Ponieważ w Grudniu w porze kładzenia się niedźwiedzi na sen zimowy nie było śniegu, ułatwiającego ich tropienie, legowisko niedźwiedzicy uszłoby prawdopodobnie baczności gajowych, gdyby nie ta okoliczność, że młode niedźwiadki przez figle, czy też naturalną potrzebę gimnastyki, wlaziły na wierzchołek olszynki, dominującej samotnie w tem miejscu nad łozą, zkąd zostały dostrzeżone przez włościan idących do rzeki. Uwiadomiony o tem strzelec dozorujący las, wyśledził legowisko i kilkakrotnie podchodził na odległość, jak mówił, 30 kroków, a pomimo nawet naszczekiwania psa, niedźwiedzica nie ruszyła się i pozostała w barłogu.

Po otoczeniu całego ostępu gęstym łańcuchem obławy i strzelców, zajęliśmy stanowiska w samej olszynie w miejscu, gdzie uważano za najpewniejsze przejście do wielkiego sąsiedniego lasu. Najpierw stanął p. Siem. w samym brzegu olszyny, którą wąski smug oddzielał od górnego, suchego lasu, obsadzonego przez obławę i strzelców, mających rozkaz strzelać ślepymi nabojami wtedy tylko, gdyby zwierz pomiędzy nimi usiłował wyjść z miotu. Drugim był p. Kr., następnie sam gospodarz, potem ja, syn gospodarza, pan Lenk., obywatel z sąsiedztwa, leśniczy, wreszcie wybrani strzelcy. Staliśmy w linii prostej, w odległości mniej więcej 25 kroków od siebie, mając za zasłonę stare, gęsto przy podstawie zarośnięte olszyny; przestrzeń między drzewami pokrytą była rzadką trzciną, wyrastającą z bagna zamarzłego i usłanego dość głębokim śniegiem.

Po kwadransie oczekiwania dał się słyszeć odgłos trąbki, poczem padł strzał jeden, drugi, trzeci i w ślad za tem gon psów, wskazujący, że zwierz ruszył z legowiska. Ogromna wrzawa podniosła się od razu naokoło miotu, co chwila spotęgowana wybuchami krzyku i licznymi wystrzałami, czemu towarzyszyło wzrastający odgłos trąb i zajadłe szczekanie gończych. Niepodobna opisać wrażenia, z jakiem oczekuje się chwili ukazania się zwierza; ciekawość połączona z podniesionym zapałem i obawa, aby się zwierz nie wysunął bez spotkania z myśliwcami, składają się na ten moment psychiczny. Na szczęście zbliżający się gon psów i wrzawa na prawem skrzydle obławy oznajmiają skierowanie się ku nam zwierza. Za chwilę słychać już trzask i łamanie trzciny, strzał z prawej strony i widzę zacnego naszego gospodarza, jak zwraca się w prawo z przyłożoną do twarzy strzelbą. Oddzielające nas drzewa nie pozwalają mi nic więcej dojrzeć, słyszę tylko trzask gałęzi, strzał jeden drugi i mimowolnie obracam się na prawo, bo słychać zwierza, wychodzącego z miotu.

W tej chwili spostrzegam niedźwiedzicę z dzikim, wściekłym wzrokiem, wypadającą w szalonym pędzie po za naszą linję i zdającą się jakoby iść równolegle do niej. Pada strzał trzeci, p. Bohusza, a niedźwiedzica w oka mgnieniu zwraca się i w olbrzymich susach idzie na sztych ku mnie. Strzelam na 12 kroków w prawą łopatkę, w przekonaniu, że trupem padnie, ale zwierz ani drgnął, tylko ryknął przeraźliwie i jednym susem znalazł się między mną i p. Bohuszem. Mając odsłoniony cały lewy bok niedźwiedzicy na tak bliską metę, chcę powtórzyć strzał, ale mam na celu gospodarza; czekam przeto, aż zwierz posunie się dalej, w przekonaniu, że wskoczy do miotu; w tej chwili niedźwiedzica zwraca się ku mnie zadem i rusza wściekłym impetem na p. Bohusza. Lękając się postrzelić gospodarza, strzelam nieśmiało cokolwiek w lewo i pudłuję. Nie tracąc ani chwili czasu kładę świeże kule, a niedźwiedzica i mój sąsiad giną za grubą olszyną. Słyszę strzał, ryk drugi zwierza i krzyk — i w tym momencie podbiega do mnie syn gospodarza, niesłychanie blady, z wyrazami: to ojciec. Przekonany byłem, że to p. Kr. krzyknął i mając już nabitą broń, biegnę ku moim towarzyszom; wtem pada strzał i oczom moim przedstawia się niezapomniany nigdy widok: p. Bohusz powstaje z ziemi bez czapki, z rozdartem i zakrwawionem ubraniem na plecach; po nad nim, na dość wysokiej kępie, między pniami olszyny, niedźwiedzica z paszczą otwartą, zakrwawioną i łbem między widełkowato rozchodzącymi się gałęziami utkwionym, zdaje się chcieć rzucić na nas, ale już niezdolna do tego, bo śmiertelnie ugodzona strzałem p. Siem. Rozlega się głos gospodarza: „Kochanemu panu Walentemu zawdzięczam ocalenie!“ Wszyscy zbiegamy się z niepokojem naokoło zranionego, który na szczęście oprócz poszarpanego ubrania otrzymał od pazura niedźwiedzicy tylko niezbyt głęboką ranę w lędźwiach. Uradowani uścisnęliśmy serdecznie rękę gospodarza i wybawcy, którzy ani na chwilę nie stracili zimnej krwi i rozpoczęliśmy, jak to zwykle bywa, gorączkowo wypytywać się o wszystkie szczegóły. W tej chwili podnosi się wrzawa i widzimy niedźwiadka, jak korzystając z ogołoconych stanowisk wymyka się z miotu brzegiem olszyny; posypały się strzały, ale z powodu odległości i dość gęstej olszyny, bezskuteczne; chociaż jedna z kul zraniła go, jak to później stwierdzono na tropie. Puszczono za nim psy, a tymczasem obława i wszyscy strzelcy ściągają się ku nam, niosąc niedźwiadka, zabitego przez strzelca, zaraz po wyparciu zwierza z barłogu. Trzeci piastun uszedł zdrów i cały do sąsiedniej kniei. Wszyscy podziwiają niedźwiedzicę i dopytują się, jakim sposobem znalazła się tak wysoko i w tak malowniczej pozie. Pytania, odpowiedzi, dodatki, poprawki, sypią się jak z rogu obfitości, a wszystko żywo, gorąco, namiętnie, bo ustrój chwili aż nadto do tego usposabia. Okazuje się, iż niedźwiedzica ruszona z barłogu; próbowała w paru miejscach wyjść z miotu, ale przyjęta krzykiem i strzałami, skierowała się w stronę naszą, gdzie było cicho. Idąc brzegiem olszyny wprost na p. Siem., spłoszoną została niepotrzebnym strzałem, danym z boku przez strzelca i wtedy rzuciła się w głąb olszyny, chcąc wyjść z miotu między p. Kr. i gospodarzem. P. Kr. strzelił do niej pierwszy raz na sztych i tylko lekko ją drasnął, drugi zaś strzał dał do lewego boku i kula przebiwszy płuco została w wątrobie. Niedźwiedzica wyszedłszy z miotu skierowała się na prawo i wtedy otrzymała kulę p. Bohusza, która przeszyła jej płuca i została wewnątrz klatki piersiowej. Zdawałoby się, że tak srodze raniony zwierz powinien paść, lub też uciekać od linii strzelców, stało się jednak inaczej. Widocznie pobudzona do wściekłości niedźwiedzica, zwłaszcza ostatnim strzałem, postanowiła się zemścić i z niesłychaną szybkością zwróciwszy się, ruszyła prosto na mnie. Nie było czasu do namysłu; strzeliłem, jak mi się zdawało, w prawą łopatkę w chwili skoku zwierza, a kula trafiwszy w pierś przeszyła części miękkie i prześliznąwszy się po mostku, wyszła przez brzuch i utkwiła w kolanie tylnej lewej nogi. Co było powodem, że po strzale moim zwróciła się na pana Bohusza, tego sobie objaśnić nie potrafię. P. Bohusz widząc szarżującą na siebie niedźwiedzicę, z najzimniejszą krwią przypuszcza ją na kika kroków i strzela w czoło — kula przeszywa szczękę górną, wybija lewy kieł, rozrywa język i wychodzi przez szczękę dolną, a zwierz wydawszy

straszny ryk, rzuca się na swego prześladowcę, który krzyknąwszy: „bijcie, bo mnie goni!“ w kilku susach chroni się za karpę olszyny, wskakuje na nią, ale niedźwiedzica dopada go, chwyta łapą za plecy, rozdziera całe ubranie i pazur jeden wbija w ciało; przytomny jednak myśliwy wyrywa się i przez gęste gałęzie olszyny usiłuje wydostać się z tak niemiłego położenia. Zwierz wskakuje na karpę, wysoką przynajmniej na 1½ łokcia i chwyta zębami wymykającą się ofiarę; nie mogąc jednak przedrzeć się szybko przez grube i gęste pnie, chwyta tylko za ubranie, a w tym momencie p. Siem., nie będący dotąd w akcyi, podbiega i widząc co się dzieje, przyklęka i strzela do prawego boku niedźwiedzicy, która puszcza swą zdobycz i śmiertelnie, bo w kręgi rażona, pozostaje nieruchoma na wyniosłej karpie. P. Bohusz był tak przytomny, że będąc trzymany za ubranie przez zwierza, widział jak p. Siem. przykląkł, strzelił i wykrzyknął: „już zabita!“

Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia następują ożywione rozprawy o wszystkich, najdrobniejszych szczegółach całego epizodu, od chwili ruszenia zwierza z barłogu, czemu towarzyszą i humorystyczne uwagi obławy i strzelców, spierających się o to, czy p. Bohusz ma tylko „kurtę“ podartą, czy też i „tiło“; lub odpowiedź strzelca p. Siem. na pytanie, czy widział rzucanie się niedźwiedzicy: „żeby nie kazali stać na miejscu, to i ja by zdążył na ten j a r m a r e k“, oraz mnóstwo pytań, objaśnień przeplatanych żartami, popisami osobistymi, jak to zwykle bywa. Nareszcie polowanie skończone; niedźwiedzicę ułożono poprzecznie na dwóch drążkach; czterech ludzi poniosło ją tryumfalnie w otoczeniu całej drużyny myśliwskiej na miejsce zboru, dokąd już niedźwiadka dostawiono. Żałuję niewymownie, że nie jestem mistrzem pędzla, bo równie pięknego epizodu do obrazu trudnoby nawet przy bujnej wyobraźni wymarzyć. Wszyscy byliśmy przejęci wrażeniem niezrównanego obrazu myśliwskiego, graniczącego z tragedyą, a tak szczęśliwie zakończonego i serdecznie winszowaliśmy kochanemu gospodarzowi uniknięcia tak groźnego niebezpieczeństwa. Wieczór zeszedł nam nader przyjemnie na ożywionej gawędce myśliwskiej, której osią były coraz nowe i niewyczerpane szczegóły wypadku z niedźwiedzicą, oraz projekta nazajutrz dla upolowania pozostałych dwóch niedźwiadków. Przybywszy nazajutrz do tegoż samego ostępu, znaleźliśmy otropionego jednego tylko niedźwiadka, który osadzony przez psy gończe, zastrzelony został przez chciwego z obławy strzelca. Drugi piastun, postrzelony dnia wczorajszego, niewątpliwie w sąsiednim lesie błąka się, dopóki otropionym nie zostanie.

Spiesząc z powrotem do Warszawy pożegnałem kochanego gospodarza i miłych towarzyszów broni, unosząc najprzyjemniejsze wspomnienia z odbytego polowania, wraz z pragnieniem doczekania się chwili spotkania w tak pożądanem gronie i odświeżenia wspomnień uroczej wyprawy. Kochanemu gospodarzowi składam serdeczne „Bóg zapłać“ za podjęte trudy i staropolską gościnność, i zanoszę błagalne modły do św. Huberta, aby mu dozwolił jak najdłużej być dzielnym wodzem uwielbiającej go drużyny myśliwskiej.

Warszawa 26. Marca 1887. *W. S.*

Dlaczego nie zostałem myśliwym?

Kartka z pamiętnika doktora medycyny.

Przepisał

LEON GUSTAW DZIUBIŃSKI.

Ukończyłem medycynę i po rocznej praktyce szpitalnej osiadłem w mieście X, stolicy jednej z prowincyj dawnej Polski. Miałem dosyć liczną klientelę, dochody z każdym miesiącem wzrastały, a moje operacye nabierać już zaczęły pewnego rozgłosu. Zapisałem się do kasyna, bym się miał gdzie podzieć podczas długich zimowych wieczorów i albo przy bilardzie, albo też przy zielonym stoliku chwil kilka, w towarzystwie podobnych do mnie kawalerów-samotników, przepędzić. W prywatnych domach nie chciałem bywać, bo mi się zawsze dziwnem wydawało to rozpaczliwe upatrywanie w każdym kawalerze ze stanowiskiem, przechodzącym próg pomieszkań, gdzie były panny na wydaniu, konkurenta, i to niby przypadkowe, a przecież dobrze obmyślane swatanie siostrzenic, bratanic, pochrzestnic przez stryjanki i chrzestne mamy. Oddany zresztą całem sercem memu zawodowi, ani myślałem o żeniaczce, a przebiedowawszy lat sześć podczas kursów medycznych i praktyki szpitalnej, nieraz o chłodzie i głodzie, pragnąłem teraz użyć nieco świata i nie myślałem o przyjmowaniu obowiązków, krępujących moją osobę. Gdy raz wieczorem w kasynie kibicowałem znanemu w mieście kupcowi, namiętnemu graczowi w taroka, usłyszałem rozmowę, która we mnie miłe obudziła wspomnienie. Dwaj jacyś nieznajomi, siedzący przy sąsiednim stoliku panowie rozpowiadali swoje przygody myśliwskie.

Wspomniałem lata mojej młodości, kiedy to nieraz ojcu memu, wówczas dzierżawcy niewielkiej wioski na Podolu, towarzyszyłem z pojedynką do kniei i wsłuchiwałem się w przeniknliwe głosy naszych ogarów. Poczciwy ojciec, leśniczy Mikołaj, nawet psy gończe Spiewak i Mrówka żywo stanęły mi przed oczyma. Myśliwska żyłka obudziła się we mnie. Przystąpiłem do rozmawiających myśliwych i przedstawiłem się im, pytając o bliższe szczegóły ich polowań. Wyczerpująco opowiadali mi własne i cudze myśliwskie wypadki i epizody i z zapałem zachęcali do wpisania się w poczet członków miejscowego towarzystwa myśliwych. Jeden z nich, jak się później dowiedziałem, wydziałowy towarzystwa, ofiarował mi na poczekaniu statut i zakończył solennem oświadczeniem: „że konsyliarz bez żadnych trudności na członka towarzystwa przyjętym zostanie, gdy tylko wniesie prośbę“.

W powrocie do domu, zagrzany wspomnieniami, postanowiłem już bezwarunkowo, że się pod sztandar myśliwski zaciągnę. Było mi potrzeba wprawdzie wiele, bardzo

wiele przyborów i przedmiotów myśliwskich, przyznać bowiem muszę, że wówczas nawet strzelby jeszcze nie posiadałem, spodziewałem się jednak, że w krótkim czasie zaopatrzę się we wszystko i gotowym będę do przyzwoitego mordowania wszelakiej zwierzyny. Wróciłem ożywiony do domu i wziąłem z szafy Dietzl'a „Niederjagd", by przed zaśnięciem usposobić się niejako do nowego łowieckiego zawodu. Przypomniałem sobie jednak, kładąc się do łóżka, że myśliwi w kasynie wspominali ciągle o jutrzejszem polowaniu, które miało się odbyć za jedną z rogatek miasta. Nazwisko rogatki doskonale zapamiętałem. Brakło mi cierpliwości do czytania. Czemprędzej zgasiłem lampę, z postanowieniem, że jutro wieczorem (miała to być niedziela) wyjdę do rogatki, w celu przypatrzenia się wracającej myśliwskiej drużynie, przyszłym moim kolegom.

Rogatka leżała z ćwierć mili od miasta, więc ażeby się nie spóźnić, wyszedłem po godzinie 6-tej na spotkanie, wyobrażając sobie, że pewno całą furę różnorodnej zwierzyny obaczę. Szedłem pomału, bo się namyślałem nad systemem broni, którą miałem dla siebie zakupić, nad rodzajem myśliwskiego futerka i nad innymi szczegółami moich myśliwskich sprawunków. Zaszedłem aż za rogatkę, nie spotkawszy żadnego myśliwego. Miałem już wracać, gdy turkot kilku jadących furmanek zatrzymał mnie na miejscu. Wieczór był jasny, prawdziwy polski, jesienny wieczór, dokładnie więc widziałem na drugiej przejeżdżającej furze, prócz jednego myśliwego i chłopa powożącego, obok którego leżało kilka zajęcy, dwie jeszcze osoby w pozycyi leżącej, poprzykrywane bundami. Z dziwnem uczuciem patrzyłem za tą furą, wtem donośny: „A! dobry wieczór!" wyrwało mnie z zadumy. Zwróciłem głowę i ujrzałem na stojącej przedemną furze dwóch moich wczorajszych znajomych, którzy serdecznie dłonie do mnie wyciągali. „Cóżeście panowie zabili?" — zapytałem. Gorączkowo, bez tchu prawie, opowiadali mi obydwa razem o znakomitej kniei, o wielkiej ilości zwierzyny i o świetnych rezultatach polowania. Na zapytanie z mej strony, co znaczyła pierwsza fura zagadkowa, brakło miejsca w tym wartkim potoku słów. Oszołomiony zupełnie myśliwską swadą, wyjąłem 15 zł. w. a. i złożyłem je na wezwanie wydziałowego w jego ręce, otrzymawszy pokwitowanie na myśliwskim stołku pisane.

Należałem już do towarzystwa. Robiło mi się jakoś ckliwo, gdy z boku widziałem, jak poprzednia fura przy rogatce stanęła, jak siedzący myśliwy płacił kopytkowe obszukującym wóz strażnikom. Słyszałem przytem jakiś spór, który był dla mnie niezrozumiałym. „Jest? — pytał strażnik — „jest, jest"! — odpowiedział z wozu Nemrod. Słowa jego nie robiły snać wrażenia dodatniego, bo strażnik przywoławszy kolegów, zaczął buszować po wozie i po chwili mimo zapewnień myśliwego, że „jest, jest", wykrzyknął: „nie ma"! i zabrawszy wraz z towarzyszem jakieś zwierzę na komorę, wzywał pana myśliwego do protokołu. Dopiero po odebraniu wizytowej karty, przepuścił furę do miasta.

Wszystko to widziane i słyszane opodal, wśród rozmowy z moimi znajomymi, napełniało mnie jakąś nieokreśloną ciekawością i dawało wiele do myślenia. Miałem na ustach zapytanie, co to wszystko znaczy, gdy myśliwi, pożegnawsy mnie uprzedzająco, kazali jechać. Zostałem sam za rogatką. Zwolna podszedłem ku stojącemu nadstrażnikowi i zapytałem, co miał znaczyć ten ciekawy spór. Z uśmiechem objaśnił mnie zagadnięty, że zabitą została koza, że ten zdrowy pan myśliwy zapewniał o pendzlu, że oni skonstatowali brak jego, że skonfiskowali sarnę, że ze względu na towarzyszów nie spisywano protokołu zaraz i że ten pan (tu wymienił jego nazwisko) dostanie jutro wezwanie do zapłacenia kary. — Dlaczegoż mówicie „zdrowy pan?" — zapytałem, bo mnie to uderzyło. — Cóż to pan nie widział — odrzekł strażnik — na tej furze jechało dwóch jeszcze myśliwych, ale postrzelonych, szczęściem po nogach tylko". Przeciągłe „taaaak"? wyrwało mi się mimowoli. „Tak panie — ciągnął strażnik dalej — to się często zdarza, czem kto wojuje, od tego ginie, tak! tak! to słuszne przysłowie". Czułem, że mnie dreszcz przechodzi, pożegnałem strażnika podaniem drżącej dłoni i szedłem wolno ku miastu, rozumiejąc teraz, dlaczego to doktor-operator tak bardzo w tem towarzystwie myśliwskiem pożądany, a wróciwszy do domu siadłem przy biurku i napisałem list następującej treści: „Szanowny „Wydziale! Przeznaczając zapłacone wczoraj 15 zł. jako „zawiązek fundacyi leczenia postrzelonych członków To„warzystwa Waszego, mam zaszczyt oświadczyć, że rezy„gnuję z praw, przysługujących czynnemu członkowi To„warzystwa myśliwych". Nie mogłem powstrzymać złośliwości i goryczy i zaadresowałem tę epistołę na ręce przedwczoraj poznanego wydziałowego.

* * *

Pasya myśliwska opuściła mnie zupełnie. Dziś serdecznie tego żałuję, bom się przekonał, że Towarzystwo, o którem wspomniałem, było wyjątkowem, że myśliwstwo w całem tego słowa znaczeniu jest prawdziwą rozkoszą i osłodą życia. Gdy włos szronem zimowym się przyprószył i sił już ubywa, nie pora rycerskiemu oddawać się zawodowi — czasem tylko wyruszam na wyprawę myśliwską i zawsze wracam z niej orzeźwiony na ciele i duchu.

Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem.

Przez

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Broń ówczesna nadawała się więcej do łowów na grubą zwierzynę; z łuku n. p. można było bić jelenie, łosie, sarny, lecz nie inną drobną zwierzynę, lub też skrzydlatą. Na zająca, lisa, wilki trzymano charty, o czem obszerniej w monografii charta, umieszczonej w „Łowcu" w r. 1880. Do łowów na wszelką lotną zwierzynę utrzymywali królowie i możni panowie „unoszone" sokoły i oswojone jastrzębie. Ostatnich używała też drobna szlachta.

Po bliższą o sokolnictwie w Polsce wiadomość odsyłam czytelnika do znakomitego dzieła hr. Kazim. Wodzickiego, traktującego wyczerpująco o tym przedmiocie.

Jakkolwiek w dawnych wiekach z przyczyn wyżej wskazanych było w Polsce znacznie więcej jak dziś zwierzyny, to jednak gruby zwierz nie wszędzie się znajdował, pielesze lub mateczniki jego były w puszczach leśnych. Były jednak okolice mniej lub wcale nieleśne, tam bywały tylko sarny, zające, lisy, dziki i wilki, na które polowali nietylko karmazyni, ale też drobna szlachta, a nawet kmiecie. Jakżeż polowali bez broni palnej? Ubogi szaraczek lub kmieć radził sobie jak mógł. Wyruszał na łowy w celu dogodzenia passyi myśliwskiej, ale też dla potrzeby. Najlepsi myśliwi bywali w okolicach lesistych, z nieurodzajną glębą; przechowywali w spiżarni nieobfitej w mąkę i słoninę swoje trofea myśliwskie z czworonożnej i lotnej zwierzyny, w lamusie pęk skórek lisich lub wilczych na szubkę dla jejmości lub córki, na wilczurę dla siebie przeznaczonych. Przechowywano te skórki, odwracając włosem do środka, chroniąc od mulów zielem „bagno“. Po zaspokojeniu domowych potrzeb resztę skórek zabierał żydek, skupujący „smuszki“, t. j. skórki wilcze, lisie, zajęcze, a nawet jagnięce. Nie żle to było wziąć na przednowku, gdy w spiżarni nie wiele ziarna się świeciło, nieco grosza. Lecz jak dostać ową zwierzynę bez rusznicy? Znalazły się sposoby. Na Podolu, Ukrainie i Pobereżu łowiono lisy, zające i wilki chartami, w okolicach zaś lesistych lub górskich przeróżnymi sposobami, a szczególnie rozmaitemi samołówkami, w które chwytano lisy, kuny, tchórze, nawet młode wilki. Stare łowiono w wilczych dołach, koszarach, których szczegółowo opisywać nie chcę, znajdzie bowiem czytelnik ów opis w monografii wilka, umieszczonej w „Łowcu“ w r. 1880. Lisy łowiono na stempice, wykopywano je z nor, lub szczwano chartami. Do samołówek używano różnych witerunków, którymi smarowano, „dzęgowano“ je. Do tych witerunków obok tłuszczów wchodziły korzenie, zioła, nasiona mocno woniejące, jak anyż, kmin, kolendra, z dodatkiem przaśnego miodu. Witerunek nietylko przygłuszał powoń żelaza, ale jako silny narkotyk ściągał lisy, kuny, tchórze, nawet wilki. Jako przynęty, którą zwykle kładziono wewnątrz samołówki lub na tak zwanym talerzu w żelazach, używano obok innych mięs, szczególnie zgniłego śledzia, który najlepiej ściągał zwierza. Może ztąd powstało przysłowie: „Bywaj zdrów holenderski śledziu“. Dla zneutralizowania wstrętnej dla zwierzyny powoni powlekano samołówki łojem zgniłym lub jarym czyli niebielonym woskiem. Przy zastawianiu samołówek, urządzaniu wilczych dołów, koszar, zachowywano zawsze największą ostrożność, obuwie okładano końską mierzwą, ręce nacierano witerunkiem. Dla zwabienia wilków ze stron nawet odległych używano powłok, t. j. opiekano na ogniu kawał kobyliny, kota lub psa barwy czarnej, dla przynęcenia zaś lisów, zgniłego holenderskiego śledzia, które przynęty uwiązawszy w tyle do sanek, lub z konia, włóczono po ziemi lub śniegu, obszerne zakreślając koła, zdążano do miejsca ustawionej samołówki albo zasadzki. Żelazne lub drewniane „pastki“ zastawiano bez użycia przynęty na tak zwanych wilczych lub lisich szlakach, szczególnie w okolicach górskich lub w kniei wąwozistej.

W każdej niemal kniei są miejsca, któremi zwierzyna bądź po zdobycz lub do wody wyruszać zwykła; każdy gatunek zwierzyny łownej ma swe szlaki, drożynki, ścieżki. Niepłoszona codzień, osobliwie w zimie przy nawalnych śniegach, skrupulatnie odbywa zwykłe swe wędrówki, a nawet wypłoszona zwykłymi szlakami pomyka. Korzystają z tych nawyczek srodzy drapieżnicy, jak wilki, ryś, lis, a nawet niedźwiedź, i nigdy prawie zdobycz ich nie zawodzi. W takich to miejscach myśliwi i kłusownicy zastawiają wszelkiego rodzaju samołówki na sarny, zające, lisy i wilki. Wilki w zimie skupiają się w stada, idą w trop jeden za drugim (sznurują), i tą wydeptaną ścieżką chodzą zwykle długo, więc tam stawiano samołówki, zlekka przykrywając je śniegiem i liściem. Normalnie kroczy naprzód jako wódz stary basiur; gdy zwietrzy obcy przedmiot staje, obwąchuje i jednym susem przeskakuje go, a za nim całe stado. Chyba niezręczny zawadzi w skoku o żelazną lub drewnianą (stempicę) samołówkę, która go ujmuje w swe silne kleszcze. Przerażone tym wypadkiem stado nie troszcząc się o towarzysza, umyka co tchu. Ucieszny widok takiego schwytanego wilka; zrazu miota się wściekle, wreszcie ulega fatalnej koniecznośsi, jak wyżeł waruje, zwłaszcza na widok zbliżającego się człowieka i smętnym okiem patrzy na niego, ztąd wyszło przysłowie: „pokorny jak wilk w paści“. Po kilku pałkach pada niby nieżywy, daje się przewracać na wszystkie strony, okładać drągiem, ani się nie ruszy, ale skoro niebaczny myśliwy uwolni go przedwcześnie z chwytów, wnet choćby ostatkiem sił szybko jak zając pomyka. Żywotność wilka jest zadziwiająca; sam widziałem starego wilka, któremu drągiem głowę roztrzaskano, który jednak odżył i począł zwolna uchodzić, ale go ubito. Ogólnem jest mniemanie, że wilk najsłabszym jest w krzyżach i w nosie, ale najpewniejszem jest uderzenie w komorę, poczem następuje natychmiast śmierć, a oznaką jej jest krew wypływająca nozdrzami i martwy wyraz oczów, które za życia lśnią ognisto zielonawym blaskiem, co jest najpewniejszym dowodem tlejącej jeszcze iskry życia w ciele choćby najbardziej zmasakrowanem.

Lisy wykopywano z nor i łowiono rozmaitymi sposobami, na żelazka lub mniejszego rodzaju stempice, a na przynętę używano zgniłego śledzia, kury, gołębia, pieczonego kota, w jesieni żywej żaby, którą kołkiem lub gwożdziem przybijano; żaba długo w takim stanie żyje, porusza się, drażni tem łakomstwo lisa. Dawni myśliwi przechowywali w piwnicach po kilka kóp żab, przeznaczonych na zimowy połów lisów. Łowiono też lisy na tak zwane „smyki“. Rosnące obok nory cienkie drzewka, lub w braku ich wetknięte w ziemię, naginano szczytem ku wejściu w norę, poniżej gałązek, pozostawionych rozmyślnie, uwiązywano mocny sznurek z pętlą, na wzór stryczka, zadzierzgniętą tak, iżby oczko miało 8 do 9 cali szerokości, aby lis snadnie mógł w nie wetknąć łeb. Nagięte niby sprężyna drzewko utrzymywano w tej pozycyi bardzo prostym narządem, którego wszakże dokładnie opisać niepodobna, lepiej przeto porównać do przyrządu spuszczania mysich pułapek lub ruchomego kruczka, t. j. samorodnej drewnianej kluczki, w kształcie małego haczyka. Niezakrzywiony jej koniec przytwierdzano kołkiem do spodu nory za pomocą sznurka, krzywą zaś część zahaczano zlekka o gałązkę przygiętego drzewka. Lis wychodząc z nory lub wchodząc w nią wtykał głowę w rozwarte oczko stryczka, najlżejsze potrącenie kluczki, czyli przytrzymującego drzewo haczyka wywoływało zemknięcie jej, poczem drzewko gwałtownie wracało do swej prostopadłej pozycyi i porywało w górę lisa, zadzierzgniętego stry-

czkiem. Ten rodzaj samołówek szczególnie skutecznym był podczas łowów; lis słysząc granie ogarów i czując bliskość człowieka, bez zwykłej przezorności umykał co tchu do nory. Wysuwając się z jamy bywał ostrożniejszym, jak to powiadają: „zwąchawszy pismo nosem", zwłaszcza stary ćwik wolał pozostać w norze, szukając innego bezpieczniejszego wyjścia, a jeśli go nie znalazł, to po kilku dniach oswoiwszy się z podejrzanym przedmiotem, wymykał i uwisał na smyku lub na „podrywce", jak ją na Mazowszu nazywano. Zające łowiono w podobny sposób za pomocą przygiętego drzewa z przytwierdzoną sznurkiem lub drutem u górnych gałęzi zadzierzgniętą pętlą. W porze zimowej zające także pewnym szlakiem wychodzą lub wracają, o czem świadczą mnogie ścieżki, a często nawet dosyć szerokie szlaki, jakby przez owce wydeptane. Stawiano na nich różne sidła, umieszczano na przygiętem drzewie w miarę szerokości szlaku po kilka lub kilkanaście drucianych lub sznurkowych sideł w małych odstępach. Nagięte drzewo nie unosiło się w górę w chwili zadzierzgnięcia się w sidle zająca, przywiązane do pnia sąsiedniego drzewa, pozostawało w napiętej pozycyi, zresztą okładano go z boków i wierzchu pękami chrustu, spodem pozostawiając wolne przejście, zmuszając tem zająca do wejścia w nie, a zadzierzgnięcie zawsze było pewne. Gdyby tego nie uczyniono, mógłby zając nie z przezorności lecz z nawyczki skakania przez napotkane przedmioty, kicnąć przez nastawione sidło. Zając niebaczny i łatwowierny nie lęka się żadnego przedmiotu, który się nie porusza, najpewniejszą jest przeto ofiarą każdej samołówki. W czystem polu, na którem zwykły zające igrać przy świetle księżyca lub żerować na odgrzebanej oziminie, ustawiali dawni myśliwi, tak jak dzisiejsi kłusownicy, „jasełka", zwane na Rusi „tryzubami". Jest to rodzaj przenośnych, podwójnych drabin, najzupełniej w ten sposób urządzonych, jakie niegdyś stawiano pośród staroświeckich dachem pokrytych obór lub drabin po owczarniach. Jasełka te na łokieć po nad ziemię wystające z drabinami rzadko szczeblastemi, napełnionemi snopkami niemłóconego owsa, sianem lub koniczyną, stawiano w miejscach, gdzie zające żerować zwykły. Dolna część drabin powinna z tego powodu na łokieć po nad ziemią się wznosić, aby zając zmuszonym był wspinać się na zadnich skokach, czyli jak myśliwi mówią „zakołkować" lub „słupkować", i wetknąwszy głowę między szczeble drabin, zadzierzgnąć się w umieszczonem tam sidle, które w każdoszczeblowej przegródce zawieszać można. Niemal każdy zając się ułowi. Używanie wszelkich samołówek, dziś słusznie jako kary godne uważane, były wówczas ogólnym zwyczajem, jedynym sposobem łowienia zajęcy i w ogóle drobniejszej zwierzyny. Sarny bito z łuków, brano je jednak na samołówki, ale z większym trudem, jak zające, a nawet lisy i wilki. Trzeba było znać dokładnie zwyczaje tego zwierzęcia, wiedzieć, gdzie żeruje, gdzie się poi. Stadko sarn, choć stale w jakim miocie przebywające, nie żeruje w nim jedynie, często samowolnie lub też zniewolone wpływem powietrza, spłoszone przez drapieżne zwierzę lub człowieka, zmienia miejsce pobytu. Samołówki zastawiane na żerowisku nie zapewniają dobrego skutku, pewniejsze są „powłóczki" na ścieżkach, któremi zwykły wychodzić na żer lub do wody, a najpewniejsze owe powłóczki lub drewniane stempice przy samej wodzie, na płaskim brzegu, gdzie sarny klęknąwszy na przednie nogi, piją wodę. Powłóczki (poziemki, kluczki) były to sidła z mocnego we czworo i więcej skręconego drutu, lub ze sznura grubości małego palca sporządzone. Nastawiano je na ziemi oczkami czyli pętlą na płask, końcem przywiązując do odziomka drzewa lub do mocnego kołka, głęboko wbitego w ziemię. Sarny, jak inne gromadnie żyjące zwierzęta, w porze nawalnych śniegów lub w zbitej gąszczy, idą jedna za drugą, przybywszy do zastawionej powłóczki, nie zważają na nią, kroczą śmiało, aż która z nich wstąpiwszy w oczko sidła, zadzierzgnie się w pętli. Uwikłanie w sidła przedniej racicy jest dla sarny groźniejsze, jak tylnej, albowiem prócz niedźwiedzia, który w przednich łapach olbrzymią posiada siłę, wszystkie zwierzęta, zwłaszcza szybkonogie, jak jeleń, sarna, a nawet zając, mają w tylnych nogach zadziwiającą siłę, o czem wiedzą myśliwi z smutnego doświadczenia, nie raz bowiem zdarzyły się smutne wypadki, wynikające z wyrzucenia tylnych nóg tych zwierząt. Jeleń lub sarna uwikławszy tylną racicę w powłóczce, zrywa ją najczęściej, druciana też zmyka się nierzadko, i zwierz uchodzi. Pewniejszemi jak powłóczki były stempice, ustawiane zwykle na przesmykach, drożynkach i ścieżkach, przy skałach i wąwozach wijących się, a szczególnie wiodących do potoków lub stawów. Z stempicy żadne zwierze wyswobodzić się nie zdoła, nawet siłacz niedźwiedź wyrywał wprawdzie choćby najmocniej do ziemi lub drzewa przytwierdzoną stempicę i wściekle rycząc uchodził w bór, lecz z jej kleszczów wydobyć się nie mógł, pośród dotkliwych cierpień wlókł ją za sobą, aż wreszcie omdlały z bolu i znużenia padał, i dobijany bywał drągami i siekierami. Wilk choćby tylko z lekka stempicą pochwycony, już małodusznie poddaje się swemu smutnemu losowi, nie usiłuje nawet się wyswobodzić, ale lis pochwycony za ogon, urywa go, nogę sam sobie odgryza i z najstraszniejszego kalectwa często wychodzi się. Widziałem takiego lisa z nogą zadnią odciętą po samo kolanko.

Drobna szlachta zamieszkująca okolice, w których jelenie przebywały, nie mogąc użyć przyborów magnackich do polowania na nie, używała podstępów, przedewszystkiem samołówek, które wszakże z powodu płochliwości jelenia rzadko prowadziły do celu. Częściej ubijano je z łuku, ale spotkanie nie często się zdarzało. Nie tak to łatwo było położyć lotnego jelenia, gdy mknął puszczą leśną przez jary i przepaście. Mniej trudno wziąć go goniąc na rączym rumaku z dowodną złają ogarów, zmuszając do „rozparcia się". Nie małego trzeba było sprytu i wytrwałego doświadczenia, gdy lada szlachetka lub chłop pokusił się o taką zdobycz. Bito jelenia w czasie rykowiska, na wychodnego i podchodnego. Sposoby te polowania opisałem szczegółowo w monografii jelenia, umieszczonej w „Łowcu" roku 1881, do niej więc czytelnika odsyłam. Dodam tylko, że pomiędzy łowami dawnemi a tegoczesnemi ta tylko zachodzi różnica, że dawniej używano do strzału łuków, dziś broni palnej się używa. Polowanie na jelenie, osobliwie w porze rykowiska, wymaga niezmiernej ostrożności, a najbardziej ciszy. Odgłos strzału płoszy daleko w koło nawet najbardziej roznamiętnione rogacze, więc jednej nocy tylko jednego ubić można; przeciwnie działo się przy strzałach z łuku, bez rozgłosu padł jeden z zalotników, reszta gachów niepłoszona dążyła ku miejscu godów weselnych a oraz zasadzki i padały jej ofiarą. O tyle łuk miał przewagi nad dzisiejszą bronią ognistą, zresztą tryb łowów na jelenie w niczem się nie zmienił, jak nie zmienił się tryb życia wszelkiej zwierzyny łownej.

*

Rzucimy tu jeszcze kilka słów o myśliwstwie ptaszem i ptasznictwie dawnych czasów. Broń palna dopiero po znacznem jej udoskonaleniu użytą była do myśliwstwa, czyż bowiem możliwem było strzelać z pomyślnym skutkiem z ciężkiego i niekształtnego muszkietu do zwierzyny szybko pomykającej, a tem mniej do skrzydlatej. Myśliwstwo więc na ową zwierzynę odbywało się niemal przez wieki całe po wynalezieniu broni palnej dawnym obyczajem. Na zające, lisy, sarny, a na Ukrainie na suhaki i wilki polowano z chartami, na wszelką zaś skrzydlatą zwierzynę z sokołami i jastrzębiami lub chwytano je w sieci, samołówki i sidła. Rozwijało się przeto podówczas ptasznictwo, a użycie broni palnej przyniosło mu zgubę. Dobry ptasznik tak wysoko był ceniony, jak dobry myśliwy, nawet na grubego zwierza. Królowie i książęta trzymali obok łowczych i dojeżdżaczów także sokolników i ptaszników. Sokolnictwo i ptasznictwo uważano za umiejętność i uczono się ich od mistrzów, sprowadzanych nieraz z daleka. Dobry ptasznik musiał znać dokładnie naturę i obyczaje zwierząt łownych, oraz umieć sporządzić i nastawić sieci, samołówki i sidła, niemniej też wabić i napędzić w ustawione sieci, albowiem do przepiórek tylko używano wyżłów i pokrywano je rozjazdem, inną zaś zwierzynę, jak kuropatwy, bekasy, słonki, dubelty, dzikie kaczki i gęsi, żórawie i całą gromadę łuszczaków łowiono w sieci. Kuropatwy naganiano w „płotki“ czyli „opłotki“ tak zwaną „kobyłą“ t. j. manekinem sporządzonym z białych szmat. Z lekkiego i cienkiego drzewa ciosano postać konia i pokrywano go białem płótnem. Stawiano tego konia niby pasącego się z pochyloną głową, która mogła się też w górę wznosić. Ptasznik upatrzywszy stadko kuropatw rozpinał owe płotki czyli opłotki zwykle pod wieczór, gdy kuropatwy całem stadkiem po dziennem żerowaniu skryły się u brzegu lasu lub w krzakach. Ptasznik wiedział, że stadko pieszo cieknie na żer, więc obstawił okrajek leśny lub krzewem podszytą miedzę płotkami i czekał, aż stadko wyruszy na żer, albo ukryty poza kobyłą, jakoby pasącą się, poruszając jej głową, postępował ku miejscu schronienia kuropatw. Kuropatwa jakkolwiek płocha, i nie łatwa do oswojenia, byle czém da się zwabić, ani widok kobyły, ani opłotków nie płoszy jej, cieknie ku nim, a ptasznik nagania ją w zdradliwe płotki, sporządzone z sieci, gęsto osnute cienkim szpagatem lub grubemi niciami, niewiązanemi w oka, lecz gęstą a raczej dość grubą warstwą pokrywającemi obie strony sieci, stanowiące główną podstawę opłotków. Sieci te podobne były do sieci kniejowych potrójnych, używanych na drobną zwierzynę. Kuropatwy i inne ptactwo, jak bekasy, dubelty, słonki chruściele i t. d., mające zwyczaj pieszo ukrywać się (zaszywać) lub przebijać przez zawady, zetknąwszy się z płotkami więzną w nich i plątają się tem mocniej, im bardziej usiłują się wydobyć. Wtedy chwyta je ptasznik żywcem. Łowienie owych ptaków prócz kuropatw, za pomocą drygubic, stożków i rozjazdu nigdy się nie udaje, bo wszelkie błotne ptactwo nader jest czujne i ostrożne i pod drygugubicę i stożek nie pójdzie, a rozjazdem nakryć się nie da, bo wypłoszone wzlatuje. Niepodobna mi opisać mnogich i różnorodnych sposobów łowienia ptactwa, odwołać się więc muszę do dzieł dawniejszych i tegoczesnych o tym przedmiocie traktujących, z których Cygański wierszem rzecz opisuje. Jak łowiectwo w ogóle w skutek zastosowania broni palnej uległo wielu zmianom, tak też ptasznictwo z powodu udoskonalenia tej broni upadło zupełnie. Dziś na ptactwo poluje się ze strzelbą, jemioły tylko, kwiczoły i paszkoty łowione bywają w sidła, inne drobne ptactwo bierze w obronę Ustawa, czem ostateczny cios zadano ptasznictwu. Zaiste piękny to cel — ochrona naszych spiewaków polnych i leśnych, ale co właściwie jest powodem umniejszania się ich liczby — niezawodnie wycinanie gajów i lasów i zarośli, gdzie owe ptactwo się wywodzi. Śmiem twierdzić, iż raczej należało Ustawą poskromić bezwzględne trzebienie lasów, a wtedy ochrona ptaków spiewających stałaby się niepotrzebną. Niedawno jeszcze, chociaż Ustawy ochraniającej nie było, mieliśmy więcej ptactwa i zwierzyny, zkąd to pochodzi, wyjaśniłem wyżej, tu tylko dodam, że do znacznego ubytku wszelkiego wędrownego ptactwa przyczynia się wielce bezmierne tępienie jego w czasie przelotu przez obce kraje. Trudno uwierzyć, ile milionów owego ptactwa, nie wyłączając nawet jaskółek i pliszek, chwytają Włosi i Francuzi, szczególnie w stronach południowych. Ptactwo wszelkiego rodzaju przybywszy nad brzegi morza, znużone, stadami zapada na polach przybrzeżnych w celu pokrzepienia sił do dalszej podróży przez niezmierne przestrzenie morskie. Korzystają mieszkańcy owych nadbrzeżnych okolic z znużenia ptactwa, z dziką chciwością rzucają się na bezwładną niemal rzeszę skrzydlatą i tępią ją bez myśli dla zysku lub tylko dla dogodzenia zwierzęcej drapieżności. A dzieje się to u narodów na wysokiej stopie cywilizacyi stojących, a dzieje się bezkarnie. Dodajmy jeszcze, że nie każdy z ptaków zdoła przebyć ocean, ginie z wysilenia, że drapieżność ludzka tak daleko się posunęła, iż nawet nad wodami umie tępić ptactwo zastawiając na nie sieci. Na cóż się przyda nasza Ustawa ochraniająca ptactwo, gdy niema międzynarodowej konwencyi w celu jego ochrony? Wszakże tak jak łowiectwo może być uregulowane i racyonalnie prowadzone i protegowane. Ptasznictwo dzisiejsze w niczem prawie nie różni się od dawniejszego, wszelkie przyrządy do łowienia ptactwa formy nie zmieniły. Sieci, sidła i samotrzaski, nawet różdżki pomazane lepem znane były w dawnej Polsce, ulepszono je tylko wzorami, sprowadzonymi z Niemiec i Holandyi, które kraje słynęły z wzorowego ptasznictwa. Sieci czyli poły do pokrywania ptactwa wyrabiano tam z polskiej przędzy, która posiadała europejską sławę. Ptasznictwo w Polsce nie wiele miało zwolenników, uważane jako zajęcie nierycerskie, więc odpowiednie dla starców i niedorostków, duchownych, mieszczan. Łowcy używali sideł, rozjazdów, drygubic, opłotków na kuropatwy, bekasy, wszelkie inne ptactwo nazywało się drobiazgiem. Ptasznictwo posiadało odrębną swoją terminologię, której tu podać rozmiary pisma nie pozwalają. Czas łowienia ptactwa rozpoczynał się z końcem Sierpnia, po uprzątnieniu konopi „maciorek“, i trwał do 15. Kwietnia do św. Ludwiny, to też mówiono:

Po świętej Ludwinie
Daj pokój ptaszynie.

W Sierpniu już ptactwo drobne z rodziny łuszczaków połączyło się w stada (chmary), buszując po ogrodach, szczególnie konopiskach, nie małą czyniąc szkodę. Ptasznik nieraz za jednem zaciągnięciem siecią czyli płachtą kilka kóp złowi. Najlepszem miejscem do takiego połowu są ogrody, sady, okrajki lasu, gaiki. W pobliżu drzew i zarośli nastawia ptasznik sieci, jako przynęty zaś używa

snopków konopnych nieomłóconych. Gdy konopie były bujne, skróca się snopki (garście), ścinając ich łodygi. Na nich zasiada (faluje) ptactwo hurmą z przyległych drzew lub zarośli. Skoro już ptactwo w wielkiej liczbie „szarem“ obsiadło, ptasznik okryty naturalną lub sztuczną osłoną, ściąga sznur, częto kilkanaście łokci długi, i pokrywa siecią garstki konopne wraz z ptactwem. Przy samej przynęcie uwiązuje się do kołeczka wbitego w ziemię ptaszka żywego, któremu związano skrzydełka, czyli jak ptasznicy mówią „wzięto w piórko“. Jak się to robi, trudno opisać, powiem tylko, że do związania skrzydełek nie używa się nici, lecz piórka wyrwanego z ogona. Ptaszek nie mogąc latać, biega, ztąd zwie się „biegunkiem“, i wabi ku sobie towarzyszów. Takich biegunków bywa 5, 6, czasem więcej.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Podkamień 5. Maja 1887.

Już tylokrotnie w numerach Łowca pojawiły się opisy toku głuszców, więc dalsza w tym kierunku wzmianka, byłaby tylko nudnym plagiatem. Któż z czytelników Łowca nie zachwycał się cudownym opisem tych łowów w „Tygodniu Poleskim“ ś. p. Artura Barthelsa? A jeśli sam nigdy w życiu niebył w możności doznania tej pierwszorzędnej rozkoszy myśliwskiej, to miał przed oczyma wierny obraz, miał pierwsze akordy pieśni, którą sam w swej duszy dospiewał. Wszelako w tym czarownym obrazie Barthelsa brak było owych ram, w których my, górscy myśliwi głuszcowi, na nasze obrazy z zachwytem patrzymy co roku. Choć bardzo bogate są w głuszce zapadłe Polesie i Litwa, nie zdołają wedle mego pojęcia tamtejsze łowy podać takiego tła do tego uroczego obrazu, jak je podają nasze zaśnieżone Karpaty. O wiele łatwiejsze są niezawodnie łowy na równinach, ale właśnie trud podjęty śród górskiej wyprawy, ma wedle przekonania mego o wiele więcej uroku dla prawdziwego myśliwca. Kilkołokciowe śniegi, olbrzymie łomy dziewiczego lasu, przez które z nadludzkiem wysileniem przeprawiać się trzeba, zanim się dostanie do celu, pochód do tej kuleby na połoninie, nie zbyt oddalonej od tokowiska, a będącej dla strudzonego myśliwego prawdziwą oazą w tej zaśnieżonej pustyni — oazą, w której przy ognisku spoczywa, oto są owe trudności, które pokonane nareszcie, w pełni dozwalają nam użyć owocu podjętej pracy. Na szczytach gór głuszec zabity na toku, ma się do głuszców zabitych w dolinach, jak niegdyś szarak goniony przez ogary i podbiegany przez strzelca do owych szaraków, które teraz przed pogonką mordujemy do woli.

O takiem to, z wielkim trudem podjętem, a niezwykłem powodzeniem uwieńczonem polowaniu, w krótkości donieść zamierzam. W ostatnich dniach Kwietnia udaliśmy się we czterech: Stanisław hr. Stadnicki, Stefan hr. Szembek i ja z moim synem, w Wełdzirskie góry, w których, dzięki uprzejmości tychże właściciela barona Poppera, już od siedmiu lat poluję na głuszce. Zawdzięczać to musimy tegorocznej spóźnionej wiośnie, żeśmy przybyli właśnie w chwili najbardziej rozwiniętego toku Wybraliśmy się z Ludwikówki na rozmaite, znane nam dobrze szczyty, umówiwszy się poprzednio, iż za trzy dni zejdziemy się tam znów na powrót, by powrócić razem do domu. Jednak po dwóch dniach już myśliwi zeszli się na punkcie zbornym, a powodem tego skrócenia łowów niebyło zniechęcenie w skutek niepowodzeń, jak to się przy takich wyprawach bardzo często zdarza. Stało się całkiem przeciwnie. W tych dwóch dniach, w cztery sztrzelby zabiliśmy 11 głuszców, a łatwo było przy dobrych chęciach drugie tyle ubić. Ale każdy z nas, zadowolony ze swej zdobyczy, powrócił z własnego natchnienia przed naznaczonym terminem do Ludwikówki, niechcąc wyprawiać dalszej rzezi niewiniątek. Co do mnie sam na szczycie Girganu osadziłem 19 głuszców, z których ubiwszy parę zaniechałem dalszego polowania i przypatrywałem się potem obojętnie walkom roznamiętnionych kogutów. Wszyscy moi towarzysze łowów w tem samem byli położeniu i nie wątpię, iż opisem doznanych tam wrażeń wzbogacą jeszcze łamy „Łowca“. Ja tylko wspomnieć muszę o epizodzie, który mi niezwykłą sprawił przyjemność. Podchodziłem o świcie ślicznie tokującego głuszca, któregom sam zasadził z wieczora. A przez siebie zasadzony głuszec ma urok niezwykły dla myśliwego. Podszedłem go więc w pieśni o świcie a byłto spiewak nie lada. Byłem zaledwo o kroków 50 od jodły, na której tokował, a jednak pomimo wszelkich wysileń dopatrzeć go nie zdołałem. W pieśni wciąż podskakując, zapadając to w śnieg głęboki, to w olbrzymie łomy, z których w pieśni tylko wydobyć się było można, okrążyłem w około to drzewo, na którem mój spiewak wywodził swe miłosne treny, ale niestety wszelkie trudy były daremne: „Głos słyszę ale osoby nie widzę!“ Uwagę moją zwrócił nagle w tej chwili hałas niezwykły, syk i bicie skrzydeł i w pobliżu drzewa ujrzałem na śniegu widowisko, jakie się oku memu nigdy nie przedstawiło: pięć głuszców z ogonami podniesionymi w kształcie wachlarzy, w postaci zagniewanych indyków, toczyło z sobą walkę śmiertelną, a o kilka kroków od nich nadobna głuszyca, powód ich śmiertelnej nienawiści, spokojnie przypatrywała się tym krwawym zapasom, tak jak średniowieczna dama przypatrywała się z balkonu turniejom, w których rozkochani w niej rycerze walczyli o jej kokardę. Widocznie i memu lirycznemu spiewakowi pękły struny u lutni, i z barda chiał też zostać rywalem i rycerzem i uczestniczyć w tej morderczej walce. Umilkł na chwilę, z szumem zleciał z jodły i usiadł na śniegu chcąc widocznie podążyć piechoto na pole walki, jako szósty rywal. Zapał myśliwski pozbawił mnie widoku dalszego wyniku tych turniejów. Na plac boju nie dobiegł już mój spiewak, bo padł od mego strzału, ale pomimo tego reszta bojowników pozostała na placu, huk ich wcale nie przeraził i walka dalej trwała w najlepsze. Nawet nadobna bogdanka, widocznie nie nerwowa niewiasta, po moim strzale tylko zatrzepotała skrzydełkami i przypatrywała się spokojnie dalszym turniejom. Czyż to nie jest rzecz dziwna, że głuszec, ptak najtrudniejszy do podejścia na toku, którego chód człowieka, złamana najmniejsza gałązka spłoszy, widocznie się strzału nie lęka? Nic niebyło łatwiejszego jak drugim strzałem kilku z tych walczących rycerzy położyć. Nie uczyniłem tego oczywiście i spodziewam się, że mi żaden prawdziwy myśliwy tego za złe nie weźmie. Napatrzywszy się do woli tej ciekawej walce, poszedłem nareszcie

aby podnieść moją zdobycz i wtedy dopiero niebaczne na wystrzał koguty porozlatywały się na różne strony. Smiało twierdzić mogę iż nigdy o tak świetnym rezultacie górskiego polowania na głuszce nie słyszałem. Spóźniona wiosna i przybycie nasze na sam czas najgwałtowniejszego toku, były tego powodem. Nie wiem, czy tak świetna wyprawa komukolwiek z nas jeszcze się powtórzy. Udanie tak niezwykłe zawdzięczać można wytrwałości i myśliwskiemu zapałowi niezrównanych moich towarzyszy, którzy przez łokciowe warstwy załamujących się śniegów, przez olbrzymie łomy dziewiczego lasu, w tej porze roku, dostać się potrafili na szczyty góry: „Perebyte" i zwalczyli trudności, na które niewielu z naszych myśliwych z dolin zaprosiłbym się ważył. Na mego syna, który pierwszy raz w życiu był na górskich łowach, bogini Diana zbyt była łaskawą, on z gór powrócił z najwyższą zdobyczą, bo zabił 4 głuszce. Może bogini zą wierną służbę ojca — dzieciom wynagradza.

Nadmienić jeszcze muszę, iż powracając z tej świetnej głuszcowej wyprawy, zatrzymaliśmy się przez noc jedną w Lisowicach, chcąc się tam zapoznać z tokiem cietrzewi. Próba się udała i ubiliśmy na toku dwa koguty, z których jednego ubił zaproszony przez nas gość Stefan hr. Szembek. Ze zdobyczą więc 11 głuszców i 2 cietrzewi powróciła w tak krótkim czasie nasza wyprawa, a pewny jestem, że każdy z uczestników zapisze ją w rzędzie najmilszych swoich wspomnień myśliwskich. *Leopold hr. Starzeński.*

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego.

Bobrownicki Władysław
Czacki Tadeusz hr.
Kęplicz Władysław
Lubomirski Hieronim ks.
Truskolaski Kazimirz.

Hrabia Roman Potocki polował w tym roku w lasach Szepetowieckich i Piszczowskich w towarzystwie hr. Artura Potockiego i hr. Maxymiliana Mielżyńskiego. Wynik tegorocznych toków uważać można jako nader pomyślny zwłaszcza, iż w skutek ciężkiej choroby hr. Artura Potockiego przybyli panowie myśliwi nieco za późno. Dwaj wyżej wymienieni myśliwi ubili w 10 porankach w myśliwstwie Szepetowieckiem głuszczów 9, w Piszczowskiem głuszców 16. Zwrócić uwagę należy, że do tegorocznego niezwykle świetnego rezultatu przyczyniła się dziwnie spóźniona pora toków, ostatniego bowiem dnia polowania t. j. 9. Maja głuszce tokowały tak, jak w najlepszej porze. *A. R.*

Pozwolę sobie przesłać redakcyi niektóre uwagi moje o „Łowcu" i jego treści: W ogóle mając i znając niemieckie czasopisma łowieckie, które się cieszą licznymi prenumeratorami płacącymi i dzielnymi współpracownikami, mogę i muszę powiedzieć sumiennie i prawdziwie, że im bardzo daleko do „Łowca". Prawda, że tam czasem pojawiają się artykuły znakomite, rzeczy oryginalne i nowe, ale *im grossen Ganzen* są nudne, a plagiatów mnóstwo; jedne odpisują od drugich, a potem się kłócą. Nie da się zaprzeczyć, że „Łowiec" dlatego tak dobry, że dając naszym czytelnikom zdrową i swoją naukę łowiectwa, podaje rzeczy u nas dotąd nieznane, więc nowe dla większości. Gdy z czasem ten początkowy kurs się zakończy, a nie przybędzie współpracowników takich jak hr. Wodzicki i inni, to będzie musiał „Łowiec" przedewszystkiem bawić, odstąpi więc od dzisiejszego kierunku lepszego, aby z konieczności obrać gorszy. Znam ja nasze stosunki i wiem, że jak wszędzie tak i tu już ostygł zapał początkowy, a jeśli Towarzystwo nasze na oko trzyma się kupy, sklejonej przez „Łowca", to jest to jedyna i wyłączna zasługa Redakcyi tego pisma.

Czytałem chętnie wiersz Pietruskiego. Jest to utwor bez pretensyi, a cel swój ubawienia współtowarzyszy osięgnął w zupełności, jest więc bardzo dobry. Chodziło autorowi o to tylko, aby przedewszystkiem Lisowczykom sprawić przyjemność i udało mu się to bardzo. Nie jest to poezya, choć są ustępy podnioślejsze, wiersz chroma i czasem niedomaga, ale byłoby to wadą w epopei — lecz nie w wierszu takiego zakroju.

Chciałem pisać o rogaczach szpiserach, ale trudno mi sprzeciwić się hr. Wodzickiemu, którego kocham i szanuję jako człowieka i badacza. Byłoby to zbyt zuchwałą śmiałością mierzyć się z tak znakomitym myśliwym i uczonym, więc milczę, nadmienię tylko, że mam niezłomne przekonanie o egzystencyi rogaczów, które w pierwszym roku mają rożki luźne, nieprzyrosłe do kości, o jakich wspomina hr. Wodzicki. Są też takie, które mają normalne, bezodnogowe parostki, osadzone na róży. Rzadko bardzo natomiast zdarza się dwuletni rogacz, z regularnemi widłami. Zwykle dwuletni rogacz ma rożki proste, a zamiast odnogi tylko kolanka, jak guzik. Być może że lokalne przyczyny, n. p. żerowisko, woda, klimat wywołują różnice i tak też być musi. Na torfach, gdzie nie sieją strączkowych nasion i woda jest siarczana, nie wapienna, są rogi w ogóle słabe, o krótkich lub skróconych odnogach, podczas gdy n. p. w okolicy Mikołajowa rogacze miewają śliczne i duże parostki.

R.

Myczkowce 13. maja 1887.

W broni myśliwskiej śrótowej jest nowe ulepszenie, patent na Austryę wydany, choć strzelb nowych jeszcze nie ma. Wynalazcą jest Anglik — powiedziano mi w Wiedniu tyle: Strzelba nowa ma mały kaliber, wyżej 20 $^{m}/_{m}$ przy silnych lufach. Wynalazca obowiązuje się z każdą inną strzelbą, choćby była kal. 12, o 20 kroków dalej jak współzawodnik strzelać do tarczy i jego tak ilością trafionych ziarn śrótu, jako też ostrością strzału pobić. Jest to zadanie trudne, ale w wieku wynalazków nie można powiedzieć, że niemożliwe. Ulepszenie ma polegać na wierceniu luf. Robiłem próby z grubym, kanciastym, czarno świecącym prochem, który się tej zimy w handlu pojawił jako *Jagd- und Scheibenpulver.* Ma siły stopni 7, nie należy przeto do najsilniejszych, przytem grube ziarna nie przylegając szczelnie do siebie, tworzą między sobą próżnię, trzeba go więc dawać więcej do naboju jak drobnego, a wtedy niezmieści się nabój z przybitkami i śrótem do łuski nabojowej przy strzelbach z łuskami tekturowemi, zwłaszcza że chcąc osięgnąć dobry skutek, trzeba dla wywołania tarcia dawać grube przybitki. Z prochów dotychczas znanych jest najsilniejszy proch drobny, matowy, czarny, który dostać można u Justiana we Lwowie, bo ma 13 stopni siły, gdy angielski 11 stopni posiada. Dobry, choć tylko o sile 10 stopni, jest w tym samym składzie proch świecący, drobno ziarnisty, daje mało dymu i nie smoli strzelby. — Nie mogąc w tej żmudnej dla myśliwego porze nic nowego o polowaniu napisać, piszę o broni, prochu, ale skoro mam pióro w ręku, to opiszę jeszcze zdarzenie z lisem. W Marcu b. r. spadły u nas grube śniegi, jest to chwila, w której lis niecnota, mimo że ustawa wyraźnie polować na zające zabrania, namiętnie na nie poluje, a co najgorsze, że na kotne samice prawie zawsze ze skutkiem. Jadąc saniami widziałem zająca uciekającego z lasu w pole, szybka ucieczka wśród południa naprowadzała na domysł, że był goniony; poszedłem do lasu i tam widziałem ślady pogoni lisów za zającami; polowały już parę dni, a i ten, którego na polu widziałem, był ruszony i goniony przez lisa. W środku tego lasu była góra, z której naokoło na bezlistnym lesie daleki był widok; wyszedłem na nią i zobaczyłem idącego ku mnie innego zająca, którego lis jak pies gończy ścigał; podsunąłem się na ubocz tak, że przeszedł koło mnie o 30 kroków i czekam w ukryciu, lis galopuje tropem, gdy mnie minął, strzeliłem. Zmieniły się role — przed chwilą on polował, teraz został spolowany. Jest to 897 lis moją ręką zabity; gdybym je był składał, mógłbym mieć wcale wygodną, nieobcisłą, a nawet na wyrost zrobioną lisiurkę. *Teofil Żurowski.*

W lasach dwóch kluczów: Staszowskiego i Pacanowskiego, należących do Artura hr. Potockiego, znajduje się obecnie około 2000 sarn i 120 dzików. Piękny ten zwierzostan zachowuje się, dzięki należytej opiece, tak n. p. sarny podczas zimy otrzymują stałe pożywienie rozwożone na wózkach. Dziki czynią niemałe spustoszenia wśród pól okolicznych; hr. Potocki zapłacił za same szkody w r. z. przeszło 2.000 rs.

Przyjaciel zwierząt warsz.

Dla pewniejszej ochrony zwierzostanu, w niektórych guberniach Królestwa, gdzie liczba wydanych pozwoleń na utrzymanie broni myśliwskiej była znaczna, część tych pozwoleń została obecnie usuniętą, a władze administracyjne otrzymały polecenie pilnego poszukiwania kłusowników i odbierania im broni. Osoby, które utraciły prawo polowania, mogą strzelby swoje odstąpić myśliwym, posiadającym bilety na broń, a gdyby kupca takiego nie znalazły, obowiązane są aż do dalszego czasu posiadane strzelby złożyć w biurach odnośnych powiatów.

Przyjaciel zwierząt warsz.

Zarządzający księstwem Łowieckiem koniuszy Dworu margrabia Wielopolski przedłożył władzom projekt swych przepisów o polowaniach w guberniach Królestwa Polskiego, w których dotąd obowiązywały rozporządzenia z r. 1871. Nowe przepisy mają na celu racyonalną ochronę zwierzyny. *Rolnik i hodowca warsz.*

Czerniowce w Maju.

Podaję wykaz ubitej zwierzyny w latach 1885 i 1886 w dobrach gr. or. funduszu religijnego, których polowania odbywają się w własnym zarządzie. Rok 1885. 1886: jeleni 15, 14, sarn 77, 58, zajęcy 513, 365, lisów 110, 84, dzików 7, 9, kun 33, 31, wilków 4, 8, wyder 4, 1, dzikich kotów 1, 0, niedźwiedzi 1, 1, borsuków 12, 5, jarząbków 90, 92, kuropatw 7, 0, kaczek 6, 1, słonek 21, 27, głuszców 1, 0, cietrzewi 0, 1. Razem sztuk 1601. Rezultat ten podany z 18 zarządów, a biorąc na uwagę liczbę pożytecznej zwierzyny w stosunku do obszaru, na którym polowania się odbywały, wcale nie świetnie on się przedstawia. Należy jednak dla usprawiedliwienia nadmienić, iż dwa zarządy, mianowicie Straża i Putna, które razem czwartą część przestrzeni dóbr funduszu religijnego zajmują, nie są w tym wykazie wymienione, są one bowiem prywatnej osobie wydzierżawione. W obu tych zarządach znajduje się największa liczba jeleni, których rocznie do 20 sztuk pada, również niedźwiedzi, z których w r. 1885 padły 4 sztuki, niemniej innej zwierzyny jak rysiów, osobliwie zaś z ptactwa jarząbków i głuszców. Mała liczba zwierzyny lotnej wyjaśnia się tem, że dobra funduszowe po największej części w górach są położone, gdzie ptactwo równin zaledwie jest rzadkim gościem. — Dochody z polowania w roku 1886 były: Dochód 2406 Złr. 79½ c. Rozchód 680 Złr. 13 c. Czysty zysk 1736 Złr. 66½ c., która to summa, przyjąwszy 4 procent, odpowiada kapitałowi 38.416 Złr. — Rybołowstwo było w tym czasie wydzierżawione i dało czystego dochodu 35 Złr. 69 c., który równa się kapitałowi 892 Złr.

C. Kochanowski.

Wykaz ubitej zwierzyny w dobrach Nisko hr. Resséquier w roku 1886. Pożytecznej: odyńców 3, loch 5, warchlaków 3; rogaczów 77; zajęcy 172; cietrzewi 4; kuropatw 17; dzikich gęsi 2; kaczek krzyżówek 19; ceranek 3; słonek 13; kszyków 5; dzikich gołębi 2; przepiórek 8. Szkodliwej: lisów letnich 80, zimowych 50; kun 3, psów 16; kotów 53; orłów 37, krogulców 19; srok i wron 236. Razem sztuk 832. *Fürnhit*, kontrolor lasów.

Z bitego gościnca.

Dnia 8. kwietnia jechałem do Gródka w celu udania się do Lwowa koleją Karola Ludwika. Mam zwyczaj wozić z sobą strzelbę. W pobliżu już Gródka przeciągnęła słonka, dalej druga, trzecia i t. d. To już było nad moje siły! Dobywam dubeltówkę, woźnicy kazałem stanąć i czekam gotów do strzału. W istocie po chwili nadciąga słonka z strony prawej, więc niekorzystnej dla strzału, przepuszczam ją i palę pod pióra. „Jest!“ — woła furman i przynosi mi dużą słonkę, u której dziób roztrzaskany w strzępy zwisał. Dziwiłem się, jakim sposobem strzał wymierzony w kuper rozbić mógł dziób. Po dokładnem opatrzeniu przekonałem się, że uszkodzenie dzióba nastąpiło przed moim strzałem, bo rana była nieświeża. Cóż właściwie było powodem tego kalectwa, które musiało sprowadzić głodową śmierć? Prawdopodobnie zapędziła się słonka na ciągu wieczornym na siedm drutów telegraficznych i tam takiego doznała szwanku, co zresztą jest rzeczą zwykłą, iż słonki na śmierć nawet rozbijają się o druty. *Antoni Ga...*

Z pod Złoczowa. Kwiecień

Amatorowie słonczego polowania, zasadzający sztukę łowiecką jedynie na trafnem strzelaniu, zwykli lekceważyć naturę tej zwierzyny. Po obfitym śniegu w ostatnich dniach Marca byli oni pewni, że słonek tej wiosny wcale nie będzie, lub w najlepszym razie mała tylko ich liczba ujdzie zagłady wobec śniegów i mrozów. Nie godziłem się z tem zdaniem, znam bowiem naturę słonek, zresztą nie od dzisiaj żyjąc w świecie, niejedną pamiętam śniegową zawieruchę, nawet w drugiej połowie Kwietnia, jak to było w latach 1838 i 1852. W pierwszym z owych lat mieszkałem w okolicy Cieszanowa. Marzec był ciepły, śniegi stajały, więc szykowałem się do polowania słonczego na ciągu. Daremny był mój trud, z porannej i wieczornej wycieczki wracałem z próżną torbą. Myślałem, że tylko w mojej okolicy taki brak słonek, ale w całym kraju ich nie było. Naraz około 8. Kwietnia zjawiły się niespodziewanie i to w takiej liczbie, że niemal było ich tyle, jak chrząszczów. Broni odtylcowej nie znano jeszcze wtedy, więc wybierałem się na polowanie z trzema dubeltówkami, które chłopak przy mnie stojący nabijał. W niektórych dniach po 20 ubijałem. Ten gęsty ciąg nie trwał długo; po kilku dniach, gdy nadeszły prawie letnie skwary, słonki podzieliwszy się w pary, rozleciały się na pielesze. Takie też doświadczenie zrobiłem w Złoczowskiem w roku 1852. Ciąg słonek znacznie się był opóźnił z powodu zimnej pory, ale w Kwietniu zjawiło się ich mnóstwo. W lasach, zwanych Obertasowem, ja i kilkunastu towarzyszów ubijaliśmy ich po 50 sztuk, szczególnie na wieczornym ciągu. — W bieżącym roku i ja, mimo podeszłego wieku, ubiłem 9 słonek, ale w jaki sposób? Oto jako weteran Diany nie mogąc już chodzić, wózkiem dojeżdżałem do wiadomych mi z wybornego ciągu miejsc i z wózka do słonek strzelałem. Prawda, pudłowałem gęsto, ale nie dziw, oko wiekiem zamglone, ręka drży — nie tak to dawniej bywało! Niedoświadczeni, litujący się nad losem słonek podczas zawieruchy i zimna, nie wiedzieli, jak się zachowują niektóre wędrowne ptaki. Bekas, dubelt, słonka długo się namyślają, nim do kraju rodzinnego powrócą. Gdy ich w drodze niepewna zaskoczy pora, z czego wnioskują, że u nas jeszcze zimniej być musi, wstrzymują swój lot, zapadając w zacisznych miejscach. W dosiadywaniu podobne są młodemu zającowi, który w chwili pojawienia się pierwszego śniegu nie ruszy z kotliny nawet po żer. Słonki — jestem tego pewnym — „zwąchawszy pismo nosem“, o jakie sto mil od Galicyi zatrzymać się musiały, żeby przeczekać biedę. Wreszcie przyleciały, niezwykle tłuste. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że kraj, w którym wyczekiwały, znacznie cieplejszym być musi. Gdyby nie ten ich instynkt, to w istocie zawierucha śniegowa, jaka zawitała do nas w drugiej połowie Marca, byłaby ich zdziesiątkowała, a pozostałe wychudziła, czego nie spostrzegłem, bo i ciąg był gęsty, a słonki tłuste, jakich dawno nie pamiętam. *No.....*

Przygoda z niedźwiedziem. W rewirze karpackim Smorza, położonym na pograniczu węgierskiem za Skolem, d. 23. Kwietnia praktykant leśnictwa K., przechodząc w towarzystwie kilku gajowych, działem „Bachońskie“ i „Pyszczka“, spostrzegł na śniegu, który dziś jeszcze leży w górach, świeży trop niedźwiedzia. Aby się przekonać, czy zwierz przypadkiem nie obległ w dziale, polecił kilku pobereżnikom obciąć go, sam zaś z jednym tylko gajowym pozostał na tropie, i siadłszy na kłodzie, począł skręcać cygareto. Pobereżnicy idąc ścieżką, po chwili spostrzegli dużą niedźwiedzicę z dwoma piastunami, wymykającą się właśnie z działu. Na ich widok jednak zwierz przystanął, wydał ryk przeciągły i puścił się napowrót w trop tak, że siedzący na kłodzie p. K. z gajowym, nie dokończywszy jeszcze skręcenia cygareta, ujrzał go nagle tuż przed sobą. Obaj uzbrojeni byli w dubeltówki pistonówki, które jednak mieli przewieszone przez ramię. Pan K. w mgnieniu oka zerwał swą flintę z ramion, odwiódł kurki, zerwał kłaki z kominków, złożył się śmiało do niedźwiedzicy i ruszył oba cyngle, lecz obie lufy zawiodły. Zrywając pospiesznie kłaki z kominków, postrącał z nich także pistony! — Prawie jednocześnie wszakże rozległ się grzmot wystrzału; to gajowy wypalił do nacierającej już niedźwiedzicy i — spudłował. Rozsrożony zwierz podniósł się i z rykiem szedł na niefortunnych myśliwych, aby ich wziąć w swe straszne objęcia. Był już parę tylko kroków od nich, gdy padł drugi strzał gajowego, po którym niedźwiedzica całym ciężarem runęła na ziemię, a oba piastuny widząc matkę upadającą, wydrapały się spiesznie na poblizkie drzewo. Pan K. z gajowym w obawie, że niedźwiedzica ranna tylko i może znów wstać i rzucić się na nich, usunął się na bok, aby nabić strzelbę; zwierz jednak nie dawał

już znaków życia. Jakby spiorunowany legł od strzału dzielnego gajowego, ugodzony garścią ołowiu w komorę sercową. Kiedy po chwili nadeszła reszta gajowych, wyłapano obydwa piastuny żywcem i szczęśliwa gromadka z niezwykłym swym łupem powróciła na leśnictwo w Smorzu. Towarzystwo św. Huberta przeznaczyło kwotę, uzyskaną ze sprzedaży niedźwiedzicy, jako nagrodę dla gajowego, który strzałem swym uratował życie swoje i przełożonego swojego; schwytanymi zaś piastunami, którym na razie matkę zastępują krowy p. leśniczego smorzańskiego, obdarzyć zamierza projektowany w mieście naszem zwierzyniec.

Bobry pod Kijowem. W końcu Kwietnia przywieziono do Kijowa bobra, schwytanego w pobliżu Czarnobyla, w zaroślach nad Dnieprem. Był to bardzo ładny, duży exemplarz. Corocznie w okolicach Kijowa trafiają się bobry, przynosi je na odłamach (krach) lodu woda Dnieprem i rzekami, do niego wpadającemi, aż z Polesia, lecz są także exemplarze, pochodzące bez wątpienia z „kolonii bobrów", które mniej więcej około roku 1840 istniały w bliskości Kijowa. Z powodu wyrąbania lasów i żeglugi na Dnieprze bobry prawie zupełnie wyginęły i są dziś rzadkością w tych stronach. Włościanie sprzedają żywe bobry po 5 albo 6 rubli za sztukę.

W zwierzyńcu warszawskim została zaprowadzona hodowla oraz sprzedaż psów rasowych myśliwskich. Na początek urządzono obszerną klatkę dla szczeniąt, oraz zagrodę dla exemplarzy odchodowych. Wszystkie okazy odznaczają się nieposzlakowaną czystością rasy, oraz przystępną ceną. *Rolnik i hodowca.*

Amerykańskiemu Towarzystwu geograficznemu przedłożone zostało przed niedawnym czasem sprawozdanie, zwracające uwagę na objawiający się ubytek zwierzyny w Stanach Zjednoczonych. Ubytek ten, zdaniem autora sprawozdania (Mr. E. Ingersoll) jest po części naturalnym wynikiem, coraz szersze obszary zajmującej uprawy rolnej, po części zaś wynikiem prawdziwie bezmyślnego tępienia, skutkiem czego niektóre zwierzęta stają się coraz rzadszemi i w niedługim czasie może nawet wyginą. Z niezliczonych stad bawoła amerykańskiego, ożywiających ogromne szerzawy przy górnym biegu rzeki Missuri jeszcze przed dwudziestu kilku laty, już pozostały zaledwie szczątki; jeleń prawie znikł z nizin i jeszcze się trzyma tylko na wyżynach gór skalistych; w wielu okolicach, gdzie dawniej łosie przebywały, już po nich została ledwie tradycya; bóbr schronił się w niedostępne topiele i tam nawet niebawem wytępiony zostanie. W ogóle zwierzyna wszelka, która mogłaby istnieć pomimo kolonizacyi, znika bardzo szybko, wobec ciągłego tępienia jej, niczem nieograniczonego. *(Sylwan).*

Z Stryjskiego. Maj.

Nie od dzisiaj żyję, doświadczyło się i widziało wiele, osobliwie w zakresie myśliwstwa. Podczas ostatniej trzydniowej słoty wybrałem się do Stryja, w celu załatwienia kilku interesów. Załatwiwszy je wracam do domu mostem przez rzekę Stryj. Na przestrzeni rzeki między mostem wozowym a kolejowym wskazał mi mój chłopak stadko dzikich kaczek. Każę mu jechać powoli, a sam ze strzelbą w ręku zachodzę od porośniętego łoziną brzegu, podsuwam się pod stadko kaczek i palę. Padły 3 sztuki. Chłopak rozebrawszy się spełnił funkcyę aportera. Dziwną rzecz spostrzegłem: jedna sztuka kaczor-krzyżówka miał duży, ciemno-kasztanowaty czub na głowie. Tego w życiu mojem nie widziałem. Chciałem przesłać ów ciekawy okaz do muzeum im. Dzieduszyckich, ale moja żona w zapale gospodarsko-gastronomicznym kazała oskubać kaczki. Ledwie głowę z szyją wyratowałem. *Nałęcz.*

Z Galicyi wschodniej.

Pora łowiecka według Ustawy zakończona, zaprawdę tylko według prawa, które tu niestety mało bywa przestrzegane. Biedne sarny, którym w najgorszej nawet porze żaden z naszych myśliwych nie udziela pomocy, bywają według kalendarza od 31. Marca do 1. Czerwca, w istocie zaś tylko tak długo ochraniane, jak długo wysoki śnieg z lodową powłoką polowanie z psami czyni niemożliwem. Zdziwić to może, iż rogacze o 35 Klgr. i wyżej, nie wypatroszone, wcale nie są rzadkością. Mój przegląd ubiegłego roku rozpoczynam od wiosny. Powietrze było bardzo piękne, powiedziałbym nawet za piękne dla myśliwego, chłodne bowiem jasne wieczory zmuszały słonki, które tu znacznie liczniej, jak zwykle, się pojawiły, przeciągać w niedosiężonej wysokości tak, iż podczas ciągu do 20. Kwietnia prawie nie strzelałem. Jedną tylko zabiłem na wiosnę. Głośno się odzywając przeciągały słonki jeszcze w Maju, a wielka ich liczba stale nawet pozostała, w czem leży dowód, że i słonki miewają zły gust. Zasiadki na sarny i buszowanie mało się wypłacały, lubo stan ich widocznie się podniósł, a pasące się bydło i wrzaski chłopów psują najpiękniejsze wieczory. Niezwykle suche lato, podczas którego wszystkie prawie źródła powysychały, było też dla przepiórek niedogodne i zmusiło je szukać wilgotniejszych miejscowości. Ani jednego lęgu nie znalazłem tam, gdzie w jesieni setki strzelałem. Dopiero gdy pod koniec lata kilka zlew spadło, znalazlem nie wiele przelotnych przepiórek. Jak przepiórki tak też kuropatwy ucierpiały i można było spotkać stadko zdala od schroniska na wyschniętych mokradłach i gołych pastwiskach. Lepiej się działo wilkowi, który jako zdeklarowany wegetaryaniu (?), jako nie tęgi pijak, posuchy nie uczuł, nie doznał przeszkód w pełnieniu obowiązku małżonka i troskliwie pracował dla swego potomstwa. Również lis radował się pogodą i gdym jednego przy jamach zastrzelił, wyniosła się cała rodzina w rozległe owsisko, gdzie przez całe lato została. Na zasiadce zabiłem tam w kilku dniach trzy dorastające liski i gdy już żaden na tem miejscu się nie pokazywał, próbowałem wabić je kniazieniem zajęczem z bardzo dobrym skutkiem. Trzy młode lisy wyszły sznurkiem na ów powabny głos, a widok ich w odległości strzałowej pokusił mnie do spełnienia niedorzeczności, której dziś jeszcze odżałować nie mogę. Zamiast przez coup-double uczynić przynajmniej dwa lisy nieszkodliwymi, postanowiłem dobremu znajomemu, który rad był zastrzelić lisa, zrobić tę przyjemność, zachowałem się więc spokojnie i dozwoliłem tym psotnikom ujść bokiem w krzaki. Gdym się zszedł z owym panem pewny jego tryumfu, nie znalazłem naturalnie ani śladu lisów, i nie ściągnęły ich już ani najpowabniejszy pisk mysi, ani najżałośliwsze kniazienie zajęcze. Dopiero w jesieni spotkałem się z dwoma, a meeting ów był w każdym razie pocieszniejszym dla mnie, jak dla nich. Otóż dotarłem już do jesieni i powracam znowu do owej zwierzyny, którą rozpocząłem moje sprawozdanie. Nasz pieszczoszek, słonka, przybyła w wielkiej liczbie. Gdy przy sposobności, nieprzygotowany, zaopatrzony ledwie w 3 czy 4 patrony, kazałem kilku chłopcom przebuszować krzaki olchowe, poderwało się jedna po drugiej 25 słonek, z których dwie padły od śrótu zajęczego. W krótkim czasie zabiłem 10 słonek. Z piękniejszych strzałów wymienić należy dubletę do bąka i kszyka i drugą do słonki i zająca. Na początku tej zimy, gdy jeszcze śnieg nie spadł, porywało wiele psów wiejskich w pierwszych godzinach nocnych jakieś duże, ciemnej barwy zwierzę w którym niektórzy niedźwiedzia, inni wilka upatrywali. Z niepojętą zuchwałością wdzierał się ów potwór do źle zamykanych chat wiejskich, chwytał jakiegokolwiek psa za kark i pożerał go, mimo najżałośniejszego protestu w pobliżu chaty, bo chłop wszystko raczej uczyni, jak pospieszy z pomocą swemu zwierzęcemu stróżowi. Właśnie podówczas zginął memu sąsiadowi ogromny, kudłaty, niesłychanie zły kundys (podobno mięszaniec psa i wilka). Dopiero gdy mnóstwo psów wiejskich zginęło, powrócił on do domu, gdzie przez kilku chłopów uznany został jako złoczyńca. Ja jemu z tego powodu nie złorzeczę, a gdybym się z nim przypadkiem w polu spotkał, tobym mu się pokłonił, objawił uznanie niepospolitych jego zasług około ochrony zwierzyny i wyraziłbym mu w gorących słowach szczerą podziękę. W końcu dodam jeszcze słów kilka o tegorocznej zimie. W ogólności możemy tu być radzi temu surowemu panu, bo obchodził się on z nami dosyć łaskawie, tylko w przystępie złego humoru zapomniał w Lutym zamknąć upusty niebios w porę, więc nagle spadł śnieg na wysokość metra i wyżej, przez co żywienie zwierzyny było utrudnione lub wcale niemożliwe. Ale tylko kilka dni to trwało, bo wiatr i słońce wnet odsłoniły wiele miejsc i tak przeminęła najcięższa bieda. Oby tylko teraz nic podobnego się nie zdarzyło, od tego chroń nas święty Hubercie lub też bogini Diano, zaprawdę trudno wiedzieć, do kogo z nich zwrócić się należy, aby nie doznać szkody. Najlepiejby się stało, gdyby oboje związali się węzłem małżeńskim, toby było dla nas najdogodniejsze. Co się dotąd nie stało, stać się może, może też oni gdzieś w jakiej dzikiej puszczy dozgonną miłość sobie przyrzekli i zaślubili się, o czem my wiedzieć nie możemy, bo o swych prywatnych stosunkach nic nam niestety nie donoszą.

(Jagdzeitung). *Schnell.*

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie o wczesne podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, dla kalendarza myśliwskiego na rok 1888.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.

SPRAWOZDANIE

z czynności zarządu Towarzystwa myśliwskiego imienia św. Huberta we Lwowie,

za rok administracyjny 1886/7,

przedłożone Walnemu Zgromadzeniu Towarzystwa dnia 22. Maja 1887.

Wielce Szanowni Panowie! Składając w ręce Wasze powierzony nam przed rokiem mandat, mamy sobie za obowiązek przedstawić w krótkim zarysie tak czynności nasze w tym ostatnim okresie istnienia Towarzystwa, jakoteż obraz jego gospodarki, ruchu i rozwoju od chwili objęcia przez nas zarządu.

Stwierdzamy przedewszystkiem, że z obszarów, które są polem działalności łowieckiej Towarzystwa, w ciągu ostatniego roku uroniliśmy jeden Sichów, w drodze kompromisu odstąpiony Szan. Towarzystwu myśliwskiemu miejskiemu. Natomiast zaś obszary te powiększone zostały i uzupełnione nabytkami, jak gminne terytorya w Doroszowie wielkim i małym, Kulikowie, w Kutach, Hrankach, Turzanowcach, Podhorcach, Brzozdowcach, Uściu, Drohowyżu i Weryniu, oraz dworskiem terytoryum w Kulikowie.

Nader życzliwej i energicznej pomocy ze strony właściwych Władz, w pierwszym zaś rzędzie pełnej czujności opiece c. k. żandarmeryi, której zarząd zakomunikował swą „Czarną Księgę“ kłusowników, mamy zawdzięczyć, iż rewiry Towarzystwa w ostatnim okresie zażywały względnego spokoju, a doniesienia o popełnionych nadużyciach zdarzały się wyjątkowo, w porównaniu zaś z poprzedniemi latami były bardzo nieliczne. Dozorcy też Towarzystwa wszędzie spełniali swą powinność należycie.

W stosunku do środków, jakimi Towarzystwo rozporządza, rozpoczęliśmy w roku ubiegłym zakładanie solarek i żerowisk dla zwierzyny. Lizawki, urządzone w sześciu rewirach Towarzystwa, sprawiły, iż stan sarn mieliśmy dobry, nawet w miejscach, od których ta zwierzyna w poprzednich latach stroniła. W rewirze stuleckim stan ten był nawet świetny. W kilku rewirach zasiano też żarnowiec, a w zimie, która nie była ciężką dla zwierzyny, postarał się zarząd o wyrąbywanie osiczyny. Co do sarn też, stwierdzić możemy z przyjemnością, że przezimowały dobrze, a słabość pomiędzy niemi objawiła się tylko w rewirze Iłowskim, gdzie pod wiosnę służba leśna znalazła kilka sztuk nieżywych, padłych z wycieńczenia, przeważnie młodych kozłów, które w stan chorobliwy popaść mogły, skutkiem tego, iż przy rui odbite zostały od kóz przez stare rogacze.

Zając w ostatnim roku bardzo rzadkim był gościem w rewirach Towarzystwa, podobnie jak w całym prawie kraju. Najobficiej stosunkowo znajdował się właśnie w rewirach podlwowskich. Niestrzelaliśmy go też w kniejach od połowy Stycznia. O kuropatwach mamy relacyę, że dobrze przezimowały. Zarząd uznał za stosowne, na wniosek właściwego p. Rewirowego, już z początkiem Grudnia zamknąć polowanie na tę zwierzynę w Kole I.

Lis natomiast rozmnożył się w ostatnim roku w sposób dotąd niezapamiętany. Ubiliśmy na polowaniach gremialnych i ochotniczych kilkadziesiąt sztuk tego szkodnika, po ukończeniu zaś tych polowań prosiliśmy pp. Leśniczych, rewirowych i upoważnili dozorców Towarzystwa, aby tępili lisa bez ograniczenia. To ostatnie zarządzenie jednak, jak się dowiadujemy, niestety, dało wynik bardzo nieznaczny.

W ogólności brak śniegu w przeważnej części sezonu kniejowego ukrócał dotkliwie nadzieje myśliwych. Z zapowiedzianych w programie obław na dziki i lisy mogły przyjść do skutku tylko dwie i to w warunkach dość niepomyślnych. Spotkanie z dzikiem należało w tym roku do wyjątkowych zdarzeń, gdyż otropienie zazwyczaj było niemożliwe, lub bardzo utrudnione. Nie dziw też, iż w warunkach tyle nieprzyjaźnych dla myśliwego, piękne nasze rewiry górskie z grubą zwierzyną swoją, szlachetną i drapieżną i w tym roku leżały odłogiem, nie mogąc znaleźć poważnego grona miłośników. Najważniejszy zresztą z tych rewirów Smorze-Klimiec, był dotąd bardzo nieprzystępny z powodu odległości i trudnej komunikacyi, w tym roku jednakże, po otwarciu drogi żelaznej ze Stryja przez Beskid do Węgier, niewątpliwie rozbrzmi echem rogów towarzyszy w św. Hubercie.

Z nadzieją ożywienia się w najbliższym sezonie naszych rewirów górskich, łączymy też otuchę, iż przyszły zarząd zdoła nadać bardziej prawidłową organizacyą tak zwanym „polowaniom ochotniczym“, oraz obławom Towarzystwa na zwierzęta drapieżne i szkodniki. Wyznać mumusimy, że jak dotąd, polowania te — że użyjemy tego wyrażenia — nie kleiły się. Rozchodzi się więc właśnie o nadanie im skutecznej organicznej spójni, a że przyszły zarząd uzna z nami te potrzebę i potrafi obmyśleć sposoby uczynienia jej zadość, nie wątpimy o tem.

Polowania gremialne kniejowe znajdą w przyszłym sezonie znakomite ułatwienie w zebranym dotąd zapasie doświadczenia myśliwych Towarzystwa. W ciągu dwóch sezonów poznajomiliśmy się już dość dokładnie z właściwościami rewirów Fundacyi Skarbkowskiej, a nadto zarząd postarał się o mapy łowieckie tych rewirów, w których zaznaczy zebrany dotąd materyał doświadczeń fachowych tak, ażeby przyszli pp. rewirowi mieli w nich prawdziwy przewodnik łowiecki po owych wspaniałych kniejach.

Co do polowań gremialnych Towarzystwa, ustępujący zarząd jest zdania, że ze względu na potrzebę zaszanowania szaraka w rewirach Skarbkowskich, w każdym trzecim dniu polowania w Iłowie, Stulsku, Rozwadowie i Brzozdowcach, raz na zawsze powinno się zamknąć polowanie na zająca i w ogólności trzecie te dnie polowań w wymienionych kniejach poprzenosić na Luty. Stanowiłoby to może skuteczniejsze zaszanowanie tej zwierzyny, niżby się to dało osiągnąć przez zamykanie po kolei owych rewirów na rok cały, na czem podobno najlepiej wychodzą lisy i drapieżniki.

Prawdziwą i godziwą troską ustępującego zarządu było przeprowadzenie odpowiedniejszej niż dotąd organizacyi polowań luźnych. Zaprzeczyć się nie da, iż wobec wymogów, w jakie ujęto polowania kniejowe, dotychczasowa organizacya polowań luźnych pozostawiała szerokie pole — jeśli już nie nadużyciom, to dowolności. Zewsząd też odzywały się głosy rzetelnie miłujących porządek myśliwych Towarzystwa, domagające się ograniczenia, bez naruszenia osobistej swobody PP. Członków, prawa polowania luźnego, a to w trzech kierunkach: co do czasu, celem większego zaszanowania zwierzyny, co do liczby dni polowań w sezonie zwierzyny szlachetnej i stałej, jak kuropatwa, rogacz i zając — a wreszcie co do równomiernego rozdzielenia sposobności skorzystania z tych dni przez wszystkich myśliwych. Owocem jak najstaranniejszego i wszechstronnego rozpatrzenia tej kwestyi przez zarząd są postanowienia, zawarte w ostatnim okólniku, a normujące warunki personalne: czas, liczbę i porę polowań luźnych na przyszłość.

Że zarząd nie zastosował tych ograniczeń także do Koła V. (Naddniestrzańskiego) uzasadniamy to okolicznością, iż obszary tego Koła są bardzo rozległe, a przystęp do nich dla większej części PP. Członków, we Lwowie zamieszkałych, dość utrudniony.

Co do ustroju Towarzystwa w ogólności, ustępujący zarząd miał sobie za obowiązek uchylić przynajmniej w części na przyszłość pewną anomalią, polegającą mianowicie na tem, iż dotychczas przy zupełnie równych prawach niektórzy PP. Członkowie ponosili bardzo nierówne ciężary i obowiązki. Postanowienie, zawarte w ostatnim okólniku co do obowiązku każdego z PP. Członków na przyszłość, należenia przynajmniej do dwóch Kół Towarzystwa, mianowicie do jednego kniejowego i jednego dla polowań luźnych przeznaczonego, (zamiast jak dotąd tylko do jednego) do pewnego stopnia przynajmniej przywróci w ustroju Towarzystwa równowagę pomiędzy prawami a obowiązkami Członków Towarzystwa.

Koniecznością również w ustroju Towarzystwa okazało się połączenie początku roku administracyjnego z rokiem akcyi łowieckiego Towarzystwa. Dotychczas w czasie od 1. Czerwca do ostatniego Sierpnia były w mocy, a więc i kursowały dwojakie karty myśliwskie: zeszłoroczne dawnych Członków i nowe świeżo przyjętych, a ci PP. Członkowie Towarzystwa, którzy wstąpili po reorganizacyi tegoż w r. 1884, mieli niejako prawo korzystać z kart swoich przez dwa sezony letnie. W interesie przeto zarówno porządku jak i słuszności zapadło odnośne postanowienie, przyczem Wydział nie zapomniał o potrzebie zapewnienia odpowiedniej kompensaty za stracony kwartał tym PP. Członkom, którzy, należąc do Towarzystwa przed jego reorganizacyą w r. 1884, a więc po koniec r. 1885 zapisanym, uiścili należytość według dawnego porządku rzeczy za czas od 1. Września do 31. Sierpnia następnego roku.

Postanowienie powyższe nie znosi bynajmniej ulgi, przyznanej PP. Członkom regulaminem, co do możności uiszczenia przypadających wpłat w czasie od 1. Czerwca aż do 1. Września. Ponieważ jednak już w najbliższym sezonie letnim wolno będzie polować tylko za nowemi kartami, przeto Wydział uzupełniając wspomniane postanowienie, zarządził, iż P. Skarbnik Towarzystwa wydając nowe karty, pobierze należytość tylko za Koła luźnych polowań, w których płacący w lecie polować zamierza, oraz za jedno „obowiązkowe“, dla polowań kniejowych przeznaczone, o ile zaś który z PP. Członków złożył deklaracyę na udziały w kilku Kołach kniejowych, będzie mógł resztę przypadających nań wpłat uiścić kiedykolwiek aż po dzień 1. Września.

Że Wydział uznał za stosowne zamknąć dla PP. Członków wśród obszarów jednego z czterech podlwowskich Kół stale mieszkających, udział w odnośnem Kole, nie potrzebuje to, zdaje się, bliższego uzasadnienia; ci zaś PP. Członkowie, których dotyka bezpośrednio to postanowienie, niewątpliwie wdzięczni tylko będą zarządowi Towarzystwa, że odgrodził ich tym sposobem od źródła nieustających podejrzeń.

Przechodząc do przedstawienia stanu Towarzystwa w roku minionym, stwierdzamy przedewszystkiem, że na 106 zapisanych na liście PP. Członków, rzeczywisty udział brało w tym czasie 88, która to liczba z powodu śmierci ś. p. Felicyana Hallera, spada do 87. Wydarty przedwcześnie i niespodzianie z grona naszego Towarzystwa, dla cnót i przymiotów swoich towarzyskich, jako prawy obywatel i dzielny myśliwy, posiadał głęboki nasz szacunek i sympatyę, a jako jeden z najdawniejszych Członków Towarzystwa i jego zarządu, miał prawo do naszej wdzięczności. Składamy Mu też na tem miejscu wyraz szczerego naszego żalu. — Cześć Jego pamięci!

Z 19 zapisanych na liście PP. Członków, którzy w ostatnim roku czynnego udziału w życiu Towarzystwa nie brali, czterech usprawiedliwiło swoją niemożność, zastrzegając sobie prawo reaktywowania się w następnych latach. Kilku innych zapisało się z wyraźnem zastrzeżeniem, że pragną należeć tylko do rewirów górskich, w których wszakże, jak już nadmieniliśmy, polowania gremialne w ostatnim roku nie mogły przyjść do skutku. Jako faktyczny ubytek uważamy liczbę 12 członków.

Rzeczywiści PP. Członkowie Towarzystwa mieli w roku ubiegłym udziały w następujących Kołach:

	dla pol. luźnych	dla pol. kniejowych	wpłaciwszy zł.
1. Au Alexander	1	—	6
2. Barącz Tadeusz	3	2	29
3. Barącz Erazm	1	—	4
4. Bielański Władysław	1	1	14
5. Bielski hr. Juliusz	1	—	4
6. Bielski Maryan	1	—	6
7. Bisanz Leonard	1	—	4
8. Bobik Edmund	2	1	22
9. Borzysławski Władysław	1	—	6
10. Brożyński Leon	1	1	14
11. Brückner Adolf	1	1	14
12. Brzozowski Karol	1	—	4
13. Burzyński Ksawery	—	2	18
14. Daszyński Władysław	1	1	14

	dla pol. luźnych	dla pol. kniejowych	wpłaciwszy zł.
15. Dobrzyński Władysław	1	2	20
16. Dośly Ludwik	1	1	16
17. Dunikowski Jan	1	1	14
18. Dunikowski Piotr	1	—	6
19. Dyduszyński Kornel	1	—	6
20. Dzikowski Alfred	—	1	10
21. Dziubiński Leon	1	3	28
22. Fedorowicz Teofil	1	—	6
23. Filewicz Antoni	1	1	14
24. Franz Karol	1	2	24
25. Freund Paweł	2	4	44
26. Fuchs Dr. Fr.	1	2	24
27. Gogojewicz Antoni	1	—	4
28. Godowski Władysław	3	3	39
29. Gojski Roman	1	—	6
30. Góralski Ferdynand	1	—	6
31. Grabiński Wacław	1	—	6
32. Groblewski Zygmunt	—	1	10
33. Grzywiński Wit	2	3	38
34. Haczewski Karol	1	4	36
35. Haller Felicyan †	2	—	12
36. Hamerski Maryan	1	3	26
37. Haslinger Fryderyk	2	1	22
38. Jarosiewicz Karol	1	3	26
39. Jedynakiewicz Władysław	1	—	6
40. Iwanicki Józef	4	6	68
41. Kallausch Gustaw	1	1	16
42. Kaszyński Walery	—	1	8
43. Kinelski Franciszek	1	3	30
44. Koeppel Krzysztof	—	2	18
45. Koethe Herman	1	1	16
46. Komorowski Bronisław	5	—	28
47. Komorowski Stanisław	—	1	5
48. Kostkiewicz Józef	2	2	28
49. Kovats Jan	—	1	5
50. Kozłowski Stanisław	1	—	6
51. Kreiser Oskar	1	1	16
52. Krogulski Seweryn	—	1	5
53. Kudewicz Jan	3	2	32
54. Langie Tadeusz	—	1	5
55. Lardemer Edmund	—	4	31
56. Liborio Oskar	1	2	20
57. Ligęza Stanisław	1	1	14
58. Łabęcki Alexander	1	3	25
59. Magnowski Dominik	3	—	18
60. Miłaszewski Tadeusz	1	—	6
61. Molnar Antoni	1	2	22
62. Obmiński Karol	1	1	16
63. Obmiński Jul.	1	—	4
64. Obmiński Włodz.	1	—	4
65. Ostrowski Władysław	1	—	6
66. Perelli Józef	—	1	4
67. Pietrzycki Maryan	1	—	6
68. Pragler Jerzy	1	—	6
69. Radoń Andrzej	—	1	4
70. Rojowski Kaźmirz	—	1	5
71. Rożanowski Karol	1	—	6
72. Skarbek hr. Henryk	—	1	5
73. Sołtykiewicz Antoni	4	6	65
74. Stroński Fortunat	2	1	14
75. Stroński Maryan	1	—	4
76. Szczawiński Adam	2	1	18
77. Szuchiewicz Włodz.	1	4	36
78. Tarnowski hr. Jan	1	—	4
79. Tarnowski hr. Stanisław	1	—	4
80. Thilsch Jul.	2	1	14
81. Tuszyński Karol	1	1	12
82. Wallisch bar. Emil	1	—	4
83. Weeber Edward	1	—	6
84. Wierzchleyski Kaźmirz	1	—	4
85. Wurm August	1	1	16
86. Zontak Władysław	1	1	9
87. Zwolski Józef	1	—	4
	100	100	1.310

Z powyższego zestawienia wyciągnąć można ciekawe, a dla zarządu Towarzystwa pouczające daty i wskazówki. Okazuje się tu przedewszystkiem, że gdy na przeszło 125 udziałów w Kołach dla polowań luźnych przeznaczonych, rozebrano około 100, to na każdego z PP. Członków przypada $1^{14}/_{100}$ udziałów. Na przeszło 200 udziałów w Kołach kniejowych rozebrano również 100. Bez względu tedy na rodzaj przeznaczenia pojedynczych rewirów Towarzystwa przypada na każdego z PP. Członków przeciętna $2^{28}/_{100}$ udziałów, zaś przeciętna wpłaconych za te udziały kwot wynosi 15 zł. $5^{1}/_{2}$ ct. Powyżej tej przeciętnej partycypowało w ogólnym przychodzie tylko 34 Członków, poniżej zaś 53. Różnica pomiędzy kwotami, przez pojedynczych PP. Członków wpłaconemi, była rzeczywiście bardzo znaczna, zamykając się w stosunku 4 do 68. Dlatego to właśnie, a zarazem dla wypełnienia luk w Kołach, szczególniej kniejowych i osiągnięcia pewnej równowagi ciężarów, a tem samem budżetowej, uznał Wydział za stosowne uchwalić, aby na przyszłość PP. Członkowie obowiązani byli należeć przynajmniej do 2 Kół: jednego dla polowań luźnych, a jednego dla kniejowych przeznaczonego.

Na pojedyncze Koła Towarzystwa rozdzielają się wpłacone udziały w następujący sposób:

A) Polowania luźne.

I. Podlwowskie.	Udziałów	16.	Wpłacona	kwota	(à 6 zł.)	96.—
II. „	„	16.	„	„	6 „	96·—
III. „	„	15.	„	„	6 „	90·—
IV. „	„	26.	„	„	6 „	156·—
V. Naddniestrz.	„	27.	„	„	4 „	108·—
		100.				546·—

B) Polowania kniejowe.

VI. Kuchajowskie.	Udziałów	25.	Wpłac.	kwota	(à 10 zł.)	250·—
VII. Piaseckie.	„	11.	„	„	4 „	44· „
VIII. Iłowskie (spoczywało)		—		„	— „	—
IX. Ostałowickie.	Udziałów	8.	„	„	5 „	40·—
X. Rozwadowskie	„	22.	„	„	8 „	176·—
XI. Stuleckie	„	22.	„	„	8 „	176·—
XII. Brzozdowieckie	„	6.	„	„	8 „	48·—
XIII., XIV., XV. górskie	„	6.	„	„	5 „	30·—
		100				764·—
						546·—
						1.310·—

Okazuje się z powyższego zestawienia, że w porównaniu z wydatkami, łożonymi na utrzymanie pojedynczych Kół, jak czynsz, dozór, chów zwierzyny i t. p., oprócz

trzech Kół górskich: XIII., XIV. i XV., bierne były w ostatnim roku Koła: I. Podlwowskie, VII. Piaseckie i IX. Ostałowickie. Wszystkie inne po opędzeniu własnych wydatków dawały pewną zwyżkę, która przyszła w pomoc Kołom biernym.

Z powodu nowych nabytków celem stosownego zaokrąglenia obszarów Koła V. Naddniestrzańskiego i zabezpieczenia Koła X. Rozwadowskiego, wchodzą na rok następny w skład pojedynczych Kół Towarzystwa następujące terytorya:

Koło I. Podlwowskie: dworskie: Dąbrowica; gminne: Kleparów, Hołosko małe, Hołosko wielkie, Zboiska.

Koło II. Podlwowskie: gminne: Zniesienie, Sroki koło Laszek, Malechów, Doroszów wielki, Doroszów mały, Kulików; dworskie: Doroszów wielki i mały, Kulików.

Koło III. Podlwowskie: gminne: Żyrawka, Wołków, Zagórze, część Sołonki i Porszny; dworskie: Wołków, Zagórze.

Koło IV. Podlwowskie: gminne: Kulparków, Skniłów, Sokolniki, Maliczkowice, Sołonka wielka, Solonka mała, Porszna, Nagórzany.

Koło V. Naddniestrzańskie: dworskie: Dołhe, Drohowyże, Iwanowce, Nadiatycze, Opary, Rabczyce, Rozwadów, Słońsko, Uście, Brzozdowce, Hranki, Kuty, Turzanowce, Żydaczów; gminne: Drohowyże, Uście, Weryń, Brzozdowce, Hranki, Kenty, Turzanowce, Podhorce.

Koło VI. Kuchajowskie: dworskie i gminne: Kuchajów.

Koło VII. Piaseckie: dworskie: Piaski, Zarzyce.

Koło VIII. Iłowskie: dworskie i gminne: Iłów.

Koło IX. Ostałowickie: dworskie i gminne: Ostałowice.

Koło X. Rozwadowskie: dworskie: Rozwadów; gminne część Werynia.

Koło XI. Stuleckie: dworskie i gminne: Stulsko.

Koło XII. Brzozdowieckie: dworskie i gminne: Brzozdowce, Kuty, Hranki.

Koło XIII. Rożniatowskie: dworskie: Rożniatów, Duba, Lesówka, Rypne; gminne: Rożniatów, Duba.

Koło XIV. Beskidzkie: dworskie: Smorze, Klimiec.

Koło XV. Czarnohorskie: dworskie: Żabie, Stupijka.

A teraz jeszcze kilka uwag:

Wiadomo Szanownym Panom, że na każdorazowym zarządzie Towarzystwa cięży obowiązek statutem nakazany zestawiania z końcem każdego roku administracyjnego i ogłaszania w dzienniku fachowym statystyki, ubitej w ubiegłym roku zwierzyny. Tymczasem i w tym roku Wydział nie mógł na czas dopełnić tego obowiązku, ponieważ bardzo znaczna większość PP. Członków nie nadesłała dotąd swoich dzienników łowieckich, a to niekiedy mimo przypomnień i upomnień przez członków zarządu. Tu już mamy rzeczywiste prawo użalić się wobec Wielce Szanownego Walnego Zgromadzenia, ile że od biura i pp. Rewirowych Towarzystwa wymaga się w sposób jak najbezwzględniejszy spełnienia poruczonych mu zadań, gdy przeciwnie PP. Członkowie Towarzystwa, mając jedynie obowiązek wypełnienia w ciągu roku datami małej karteczki i odesłania jej zarządowi, nawet tego jedynego obowiązku podejmować się nie raczą. Fakt, że zwołane na dzień 14. b. m. nadzwyczajne Walne Zgromadzenie celem wyboru komisyi rewizyjnej dla braku kompletu nie przyszło do skutku, nie świadczy również dodatnio o szczerem zainteresowaniu się wielu PP. Członków losami i interesami Towarzystwa, tem bardziej, iż tutaj dopiero nastręczałoby się odpowiednie pole do wyrażenia ze skutkiem, a może i z prawdziwym pożytkiem na przyszłość, wszelkich uwag ujemnych i krytyk o działalności zarządu. Dla braku właśnie materyału Wydział nie mógł w niniejszem sprawozdaniu podać statystyki ubitej w rewirach Towarzystwa w ciągu ostatniego roku zwierzyny i uprasza niniejszem swoich następców, by po zebraniu wszystkich dat ułożyli odpowiednie zestawienie i ogłosili je w najbliższym numerze „Łowca“.

Niejedno dałoby się tu powiedzieć na temat obowiązku PP. Członków należenia do tych Kół, na które opiewają ich deklaracye, wniesione na Walnem Zgromadzeniu. Na podstawie wyłącznie deklaracyi wolno natychmiast korzystać PP. Członkom z prawa wyboru rewirowego odnośnego Koła — tymczasem zdarza się niestety dość często, że deklarowane udziały nie zostają następnie wcale wykupione, t. j. że PP. Członkowie wbrew obowiązującym przepisom nie poczuwają się do obowiązku zrealizowania swoich deklaracyi. Tak w tym względzie, jako też co do wspomnionego już obowiązku składania dzienników łowieckich, przyszły zarząd Towarzystwa, zdaniem naszem, powinien wyjednać sobie u Walnego Zgromadzenia sposób skutecznej egzekutywy na przyszłość.

W kierunku czysto myśliwskim mamy do zaznaczenia, że na 3 siuty, ubite przypadkowo na polowaniach gremialnych w ostatnim roku, ściągnęliśmy przepisaną grzywnę tylko za dwie, ponieważ — co z prawdziwą przykrością stwierdzić tu musimy — myśliwy, który był sprawcą wypadku z trzecią sztuką, nie czuł widać moralnego obowiązku wyjawienia zarządowi swej osoby i złożenia grzywny, a dochodzenie nasze w tym względzie okazało się bezskutecznem. Podnieść należy także, iż dla braku stanowczej definicyi „szpiczaka“ zarząd puścił płazem zastrzelenie kilku sztuk koziołków, co do których nie osiągnięto zgodności w opinii, czy należy je uważać jako „szpiczaki“. Zadaniem przyszłego zarządu powinno być postaranie się o stanowczą w tej mierze, fachową definicyę, iżby ustawom i sumieniu myśliwskiemu w podobnych wypadkach mógł z wszelką ścisłością uczynić zadość.

We Lwowie dnia 22. Maja 1887.

Bronisław Komorowski,
prezes.

Fortunat Stroński,
wiceprezes.

Karol Jarosiewicz,
sekretarz.

Alfred Dzikowski,
podskarbi.

Rewirowi.

Wład. Daszyński.	Stanisław Ligęza.
Leon Dziubiński.	Józef Perelli.
Paweł Freund.	Kaźmirz Rojowski.
Władysław Godowski.	Karol Rożanowski.
Maryan Hamerski.	Adam Szczawiński.
Franciszek Kinelski.	Włodzimirz Szuchiewicz.

Władysław Zontak.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.